

MB.

im.

Łódź

Co tu bardziej smakuje  
gruszka czy „Odgłosy“?

## KLAPSY ZA KLAPSY

reportaż na str. 5



## Tramwaj parowy

opowiadanie na str. 7 i 8



## W SPRAWIE NAGRODY

felieton na str. 2



# odgłosy

TYGODNIK  
ŁÓDZKI

Rok I. ŁÓDŹ,  
dn. 14 września 1958 r.

nr

29



## Dalekowschodnia beczka prochu

artykuł na str. 10

## NIE CHODŹ NAD WODĘ

MOTTO:

Kto zabija człowieka, podlega  
karze więzienia na czas nie  
krótszy od lat 5 lub dożywot-  
nie, albo karze śmierci.

(Art. 225 § 1 KK).

Wczoraj dowiedziałem się, że  
grozi mi niebezpieczeństwo. Takie,  
jakie grozi każdemu posiadaczowi.  
Gdy się ma za dużo, a inni mają  
za mało, zawsze może się zdarzyć,  
że ci inni zechcą przemocą odebrać  
mi moje „za dużo”. Ja wszakże do-  
piero wczoraj dowiedziałem się, że  
w ogóle mam za dużo, że jestem  
potentatem. Moje bogactwo skła-  
da się z czterech ścian, podłogi i  
sufitu.

Utarło się powiedzenie: „Miesz-  
kaniem można zabić jak siekierą”.  
Poza tym można siekierą zabić o  
mieszkanie. Zresztą nie tylko.

Jeśli i Ty, Czytelniku, należysz  
do klasy posiadaczy (czterech  
ścian) posłuchaj dobrej rady: nie  
chodź nad wodę. Nie chodź nad  
wodę w żadnym wypadku. Nawet  
nad bardzo małą wodę.

Maria Deryng poszła nad wodę.  
Po chwili została do niej wrzuco-  
na. W tym momencie dowiedziała  
się, że jest posiadaczem. Tylko że  
natychmiast umarła wraz z tym  
odkryciem. A to przez utopienie.

Taki jest finał tej historii, któ-  
rą dopiero opowiem. Zdradzam jej  
zakończenie od razu po to, abyście  
nie myśleli, iż jest to opowieść  
sensacyjna lub „kryminalna”,  
(choć kryminal gra w niej aktual-  
nie czynną rolę). Jest to po prostu  
zwykła sprawa mieszkaniowa o  
niezwykłym zakończeniu. To już  
znacie.

DALSZY CIĄG  
na str.

3



FELIETON NA

str.

3

Pokłon umalowanej  
robotnicy







MARIAN PIECHAL

## W sprawie nagrody

Sztuka, jako delikatna roślina, zawsze wymagała bacznego i czulej opieki. Tylko dzięki chwasty i zielska nie potrzebują żadnych zabiegów i plenią się bujnie wszędzie tam, gdzie ich właśnie najmniej potrzeba. Słowem do normalnego rozwoju sztuki potrzebny jest mecenat. W dawnych, przedoświeceniowych czasach sprawowali ten mecenat nad sztuką wielcy ludzie prywatni, czyli na jej urok, bogactw i ci, którzy weszli w takim mecenacie zwykły handlowy interes. Już to tzw. kunsthändlerów zarabiano i dorabiano się na nędzy różnych genialnych Mozartów, Balzaków, Cezanne'ów i Van Gogh'ów? Dziś jest inaczej. Mecenat nad sztuką i jej twórcami, i to mecenat skuteczny, przejęły w swe ręce organizacje społeczne, odpowiedzialne za życie zbiorowe, a więc i rozwój sztuki, czynnikami komunalne i odpowiedzialne organa państwowe.

Jedną z form takiego społecznego mecenatu czyli protekcyjnej opieki nad sztuką i jej twórcami są nagrody artystyczne. Trzeba przyznać, że nasze miasto nie idzie w tyle pod tym względem za innymi miastami w Polsce. I słusznie. Łódź nie może iść w tyle pod żadnym względem, przeciwnie nawet pod każdym względem musi, a przynajmniej powinna, przodować. A więc i pod względem mecenatu nad sztuką.

Zresztą w tym względzie Łódź ma w przeciwieństwie do innych miast bardzo dobre tradycje. Mianowicie przed wojną proletariacka Łódź ufundowała najpoważniejszą po państwowej i stołecznej nagrodę artystyczną. Nagroda państwowa wynosiła 20 tysięcy złotych przedwojennych, stołeczna 15 tysięcy, a łódzka 10 tysięcy. Inne miasta w dwudziestolecie międzywojennym też ufundowały swoje nagrody, ale w granicach od 5 do 3 tysięcy. Trzeba jeszcze i to dodać, że Łódź przedwojenna była jednym z pierwszych miast w Polsce, które ufundowała osobną nagrodę artystyczno-naukową. Przez

faktem. Tak zwane zwykłe przeoczenie w tym wypadku wiele właśnie mówi, potwierdzając moją tezę o upadku znaczenia obecnych nagród artystycznych naszego miasta.

Zresztą nie bardzo tak znów tylko moja. Wiem na przykład, że tow. Eugeniusz Ajnenkiel, jako prawy łódzianin zawsze czuły na te sprawy i walczący o nie z godnym podziwem niezmordowanym zapalem od wielu lat, jest tego samego zdania. Ale cóż, samo jęlowe biadolenie nie w istniejącym stanie rzeczy nie poprawi. Trzeba ten zły stan rzeczy, nikomu nie przynoszący pożytku, bo ani prestiżowi miastu, ani samemu nagradzanemu twórcy, czym prędzej zmienić.

Zmienić to, co w tym stanie rzeczy jest złe. A złe jest to, że po pierwsze nagrody są śmiesznie niskie, w zestawieniu z nagrodami innych miast, choćby Koszalin, wprost kompromitujące, w rażącej dysproporcji w stosunku do znaczenia i pozycji naszego miasta w hierarchii ogólnokrajowej i do innych w kraju miast. Jeśli Łódź jest miastem drugim w Polsce tuż zaraz po jej stolicy, to i jej nagrody dla twórców muszą mieć także znaczenie — w innym razie nie mają żadnego sensu, a właściwie mają sens pejoratywny i wobec tego należałoby z nich choćby tylko ze względów prestiżowych zrezygnować. Po drugie nagrody nie mogą dotyczyć, jak dotychczas, tylko i jedynie wąskiego kręgu autorów łódzkich, bo takie ekskluzywne zastrzeżenie pomniejsza właśnie ich znaczenie i powagę, czyni z nich nagrody per excellence i z natury rzeczy prowincjonalne i po prostu je osłabia. Wiem, że ten punkt reformy łódzkich nagród artystycznych i naukowych znajduje jak najmniejszego zrozumienia w środowisku twórczym naszego miasta, a nawet spotyka się z jak największym oporem, który trzeba będzie przełamać dla własnego zresztą interesu tego środowiska, to znaczy dla podniesienia właśnie jego powagi i znaczenia. Nagrody łódzkie powinny być ogólnokrajowe ze szczególnym uwzględnieniem pozycji łódzkich, jeśli na to zasługują. Po trzecie nagrody artystyczne i naukowe naszego miasta nie mogą być tak haniebnie i kompromitująco niskie, jak dotychczas, i nie mogą być udzielane rokrocznie, bo to jest zbyt pospolite. Nagrody łódzkie powinny być tak co najmniej wysokie jak nagrody państwowe, żeby społeczeństwo wiedziało, że stać nas na to, aby jak to wynika z jego pozycji społecznej i roli historycznej być najhojniejszym mecenasem twórców służących jego sprawie. Honor Łódzi, wymaga tego, a żeby jej nagroda za trud i pracę twórczą w Polsce była najwyższa. Takie jest moje najgłębsze przekonanie jako łódzkiego łódzianina. Długo et salvai animam meam. A teraz niech zabiorą głos inni!

kilka lat z rzędu nagroda łódzka była jedyną nagrodą państwową. Potem dopiero za przykładem Łodzi poszła Warszawa i bodajże Poznań. Toteż znaczenie moralne nagrody łódzkiej, nie licząc finansowego (można było za nią kupić sobie dom z niełochym / ogródkiem), było ogromne, laureata czyniło rzeczywiście popularnym i nadawało mu rangę twórcy ogólnonarodowego. Przypomnijmy, że pierwszym laureatem miasta Łodzi w roku 1928 był Julian Tuwim, a po nim w następnych latach uczeni, artyści i literaci tej miary, co Aleksander Brückner, Władysław Strzemiński, Andrzej Strug, Wacław Berent, Zofia Nałkowska, wysunięty był znakomity wirtuoz — łódzianin Artur Rubinstein, ale nagrodzenia go przeszkodził wybuch wojny.

A jak dziś przedstawia się sprawa nagrody miasta Łodzi? Niestety, trzeba stwierdzić ze smutkiem, że nie-szczególnie. Jej znaczenie, zakres i zasięg, jej moralny walor i autorytet, niestety i jeszcze raz niestety, podupadł niepomniernie w porównaniu z nagrodą przedwojenną, jeśli w ogóle ma jakieśkolwiek znaczenie. Państwowa nagroda coś znaczy, warszawska owszem, no jeszcze krakowska, ale łódzka? Kto o niej mówi? Prasa krajowa, poza łódzką, nawet wzmianek o niej nie podaje, radio pomija milczeniem, wydawnictwa nie zabiegają o wydanie dzieł laureata. Miarą upadku znaczenia powojennych nagród artystycznych miasta Łodzi niech będzie to, że wychodząca od zeszłego roku w Warszawie „Encyklopedia Współczesna”, notująca skrzętnie ruch artystyczny w Polsce i rejestrująca akrapulnie wszystkie nagrody twórcze nawet najmniejszych ośrodków prowincjonalnych, jak na przykład Koszalin, pomija stale Łódź uporczywym milczeniem. Nie wiem, czy to jest wynik osobistej niechęci czy też uprzedzenia do Łodzi ze strony redaktora działu literacko-artystycznego tej „Encyklopedii” — Juliusza W. Gomułickiego, czy też zwykłe przeoczenie, ale — jak to mówią — fakt jest

Nasza szkoła

## NAWZAJEM!

Chadzałem do kina. I stąd właśnie płynął mój, delikatnie powiadając, niechętny stosunek do instytucji zajmującej się rozpowszechnianiem filmów.

Kiedy podnoszono u nas ceny biletów, jednym z argumentów uzasadniających innowację był fakt, że odtąd każdy widz oprócz filmu zasadniczego obejrzy krótkometrażówkę. Rzecz więc była oczywista. Za jaja i masło więcej się płaci, niż za samo masło. Gdyby przed koncertami w filharmonii odbywały się mecze bokserskie — podniesienie ceny biletów też byłoby uzasadnione.

Nawet się cieszyłem z reformy: Bardzo lubię krótkometrażówki. Szczególnie dokumentalne. Potem dopiero okazało się, że jestem systematycznie i w dwójnasób oszukiwany i naciągany: i na pieniądze, i na czas. Albowiem w kinie płaci się nie za to, że przewiną przez rzućający na ekran aparat ileś tam set metrów taśmy, ale za określone wartości artystyczne, rozrywkowe, poznawcze lub zgola informacyjne, które z czynności tej dla widzów wynikają. Kiedy tylko „przewija się taśma” — czuje się oszukany, kiedy zajmuje się tym mój czas (a jest to bardzo długi czas) — czuje się oszukany w dwójnasób. Kiedy pociąga to za sobą wydatkowanie nerwów czyli tak zwaną irytację, jestem oszukany w trójnasób. Oto fakty:

Na przekąskę do jakiegoś tam filmu uraczono mnie „Koncertem chopinowskim na ekranie”. Ta uczta duchowa składała się z wyćlinków z kronik filmowych, nakręconych z okazji festiwalu chopinowskiego w 1949 bodaj roku. Rzecz filmowana była statycznie: siedzi p. Bella Dawidowicz za fortepianem i rusza rękoma. Tylko kamera się nie rusza. O tym co gra informowały napisy, ale nie poza tym. Albowiem dźwięku nie było. To znaczy jakieś ciche chrobotanie dobywało się nawet z głośnika, lecz tylko na początku. Potem znużeni lub zrefleksi widzowie zaczęli gadać i psyskać, więc chrobot zagłuszyli.

Z koncertem chopinowskim więcej się już nie spotkałem. Ale za to spotkałem się z „Wisłą”. Długo płynęła ona ekranem: pierw jako strumyk górski, potem jako mała rzeczka, a jeszcze potem jako szeroka, szeroka rzeka. Dużo wody płynęło przez ekran. Bo płynęła też makieta Wisły,

jakby samej rzeki było mało.

Następnym razem uraczono mnie znów wielce frańpującym i dydaktycznym dziełem, noszącym bodaj tytuł „Mały Hans za kulami teatru”. Ten importowany towar pokazywał, jak to ów Hans miast na widowie wlaź za kulisy, gapił się stamtąd jak dzieci na scenie udawały, że są nakręcanymi figurkami z osiemnastowiecznej saskiej porcelany, a kiedy tak szwendal się po teatralnym zapleczu gonili go pan strażnik w czarnym mundurze. Ganiał, ganiał, aż wreszcie złapał. A Hans przeraził się jakby wybiła jego ostatnia godzina. Ale całość kończy się humanistycznym happyendem. Bo pan w czerni wcale nie rozstrzelał przeżalonego chłopca, ale doprowadził go zwyczajnie na widowie.

Owego Hansa podziwiałem dwa razy.

Ostatnio zaś bratnia kinematografia czechosłowacka czuła się w obowiązku poczyścić mnie, co mam zrobić, kiedy bym przypadkiem miał wuj i ten wuj podarował mi małego koziołka w stanie martwym. Tak! bowiem wielce popularny przypadek zdarzył się rodakowi producentów — panu Pudliczce (czy coś takiego).

Kiedy więc ów pan Pudliczka dostał koziołka, położył go na stole w kuchni i usiadł nad nim wraz z żoną. Ale nie wiedział jak się do niego zabrać. Więc wziął nożyczki, diutro i młotek. A potem nożyczki wbił koziołkowi w brzuch i ciął tymi nożyczkami koziołkowi be-bechy. (Tu moja towarzysząca zamknęła oczy, a ja byłem już ciut ciut spocony). Okazało się wszakże, że z koziołkiem postępować trzeba inaczej. Pokazywał to umyślny instruktor w jakiejś świetlicy. Koziołeczka wiesz się na haku; nacina mu skórę i potem systematycznie go się z niej obdziera. Ale ba, skóra odarta zostaje wraz z nóżkami! Więc instruktor zrezygnuje na ekranie kośćceczki: jedną, drugą, trzecią.

Potem jeszcze raz odzierał koziołeczka ze skóry i jeszcze raz. Następnie zaś pokazali, że koziołeczka pana Pudliczki jest pokrojony na gulasz, a tak robić nie trzeba, bo skóra z koziołeczka to cenny surowiec...

Moja towarzysząca z krzykiem wybiegła z kina. Ja za nią. Teraz zaś solennie zapewniam i czeskich producentów, i rodzimych importerów, że jak będę miał wuj i wuj da mi w podarunku koziołeczka, to nie

zniszczę cennego surowca, i nie potnę go na gulasz ani nawet rzeźzonego wuja nie będę patroszył nożyczkami, ani nawet czeskich producentów i rodzimych importerów filmowych... tylko na Boga! Dajcie mi święty spokój. Ja nie wiem, czy którykolwiek z moich rodaków kiedykolwiek dostał zdechłego koziołeczka. Może tak, może nie. Ale jeśli nawet tak, to nie jestem zdania, że z tego powodu cały naród trzeba zachowaniem pełnego realizmu pouczyć, że tnąc nożyczkami koziołeczka niszczy się cenny surowiec.

Słuchajcie, panowie mi-strzowie od sklepania starych kronik filmowych. I wy, importerzy wielkich dzieł zaprzyjaźnionych kinematografii! I wy, o szefowie rozpowszechniania filmów! Ja wiem, że są szef-szefarze, którzy widzieli w kinie i „Dom”, i „Dwóch ludzi z szafą”, i wiele innych ładnych rzeczy. Ja do nich nie należę. Ja na urządzanej przez was loterii (nigdy nie wiadomo co idzie) nie wygrałem. Raczej przegrałem. Tylko, że ja wcale nie chcę grać na tej loterii. Ja jestem w ogóle przeciw przymusowemu loteriom. Zatrzymajcie sobie moje pieniądze. Oddajcie mi tylko mój czas, z którego i tak nic nie macie, i nie szarżujcie moich nerwów, bo to też samo przez się dochodu wam nie przyniesie.

Chociaż... w gruncie rzeczy boli mnie co innego. Nie znoszę jak się na mnie wypinają. W tej sytuacji mogę rzec tylko jedno: nawzajem!

BELFER



## SZTUKA I POLITYKA

„Głupota i terror to brat i siostra” pisze anonimowy autor we wrześniowym „Sonntag” z powodu bojkotu, jakiemu został poddany znany dyrygent i kompozytor Guenther Weissenborn w Niemczech Zachodnich. Nie otrzymuje on już od instytucji muzycznych żadnych za-

prośzeń na występy, ponieważ... dopuścił się zdrady kompromując rzekomo z okazyj zjazdu partyjnego SPD w Sztutgartcie „Kantatę Getyngi” poświęconą walce o pokój i odegraną jakoby tamże po raz pierwszy. Władze bońskie są zdania, że Weissenborn przez swój czyn tworzy zwrócony przeciwko zbroj-nictwu atomowemu utracił prawo do występów publicznych. „W naszym wolnym (hm!... uwaga moja!) świecie — pisze „Nowa Prasa” w Coburgu — grzesznik, który się wylamuje

spod przepisów tego świata, zostaje też pozbawiony jego dobrodziejstwa. Miasta, w których dotychczas występował jako dyrygent Weissenborn odwracają się od niego z pogardą, rozgłosnie otrzymują listy protestacyjne przeciwko zatrudnianiu tak politycznie eksponowanego dyrygenta, a Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Bonn odrzuca prośbę o wyjazd Weissenborna na tournée zagraniczne na czele orkiestry kameralnej”. „Sonntag” zauważa, że przypomina to wypadek za-

mordowania przez SS-manów przez pomyłkę człowieka który był podobny z wyglądu do upatrzonej przez morderców ofiary. Bowiem dyrygent Guenther Weissenborn (uwaga, panowie korektorzy, nazwisko to pisze się przez dwa s!) miał nieznacznie spotkać się z represjami... przez pomyłkę. Okazuje się, że „Kantatę Getyngi” (utwór literacki) napisał znany pisarz Guenther Weissenborn (uwaga, panowie korektorzy, to nazwisko pisze się przez jedno s!).

Weissenborn przez jedno s — pisze „Sonntag” — ale władzom bońskim miłsze jest na-

turalnie i bliższe wszystko to, co się oznacza przez dwa ss!

Ciekawą wiadomość przynosi jeden z ostatnich numerów tygodnika literackiego „Les Nouvelles Littéraires” o głosnej powieści psychologicznej „Księżniczka de Clèves” napisanej przez Marię Magdalene De La Fayette (1634—1693). Okazuje się, że pani De La Fayette pisała tę powieść przy pomocy słynnego po dziś dzień autora aforyzmów Franciszka De La Rochefoucauld. W grudniu 1677 roku powieściopisarka Magdalena Scudery pisała w liście do swego przyjaciela

o „Księżniczce de Clèves”, która właśnie dopiero co opuszcza prasę drukarską: „Pani De La Fayette i Pan De La Rochefoucauld zrobili powieść obyczajową na tle stosunków na dworze Henryka II, o której mówią, że jest doskonale napisana. Naturalnie, oni oboje są w tym wielcy, że już nic innego razem nie są w stanie zrobić...”

Okazuje się, że nie tylko w naszych współczesnych środowiskach artystycznych kwitnie złośliwość. Tylko że nasi przodkowie sprzed trzystu prawie lat prawili złośliwości z większym wdziękiem i dowcipem.

ARYSTARCH



# Pokton

## umalowanej robotnicy



umiem porządnie do młodzieńców zwodzić. Na boku pozostawiam stare „urzekadła” i „zamówiny”:

A ty liszaj,  
Nie tu pisaj,  
Ino w kościele, na ślupie  
I u księdza na chałupie.

— które należało trzy razy wymówić, trzy razy „Zdrowaś Maria” i liszaj ustępował. Na boku zostawiam także i te czynności kształtujące urodę kobiety, które wypływają z... próżności. Nie przeprowadzam reklamy punktu kosmetycznego, który poprzecz strój, uczesanie, makijaż podkreśla i wydobywa piękno kobiety — robotnicy naszych czasów.

Nie zapominajmy, że znajdujemy się na terenie fabryki. Jadwiga Jażdżyńska przytacza w „Kartkach z życia łódzkiej robotnicy” wstrząsające zeznania robotnic przed prokuratorem w sprawie atmosfery panującej przed wojną w fabrykach. Najmłodsze pokolenie robotnic przeczyta te zeznania z niewiarą.

„Majster T. do kantorki swego, który jest odgródzony od sali, wciągał robotnice i zamykał się z nimi na klucz; nieraz robotnice wychodziły stamtąd rozczochrane, czerwone i wzburzone...”

„Od samego początku majster T. zaczął mnie prześladować — wypytywał mnie czy jestem panną, czy mam kogo, gdzie mieszkam, chciał się ze mną spotykać...”

„Pracowałam w fabryce gilez przeszło rok. Od pewnego czasu zauważyłam, że właściciel i kierownik fabryki W. czyha na mnie...”

„Od pewnego czasu jednak majster K. zaczął mnie prześladować. Starał się wykorzystać każdą sposobność kiedy byłam sama, lub ukryta za maszyną, łapał mnie... a gdy stawiałam mu opór, zaczął mnie szykanować w inny sposób...”

Zeznania mnożą się w nieskończoność. Mają charakter osobisty i nieosobisty. Społeczny i polityczny. To są właśnie zeznania naszych matek, siostr, żon, którym w swoim czasie postawił pomnik Gorki. Owe, Własowe, pozostawili nam w spadku swoje cierpienia, swoje gorzkie doświadczenia, swój ból i swoje meštvo. Z portretem duchowym tej kobiety nie możemy zerwać; nikt o zerwaniu nie myśli. Te kobiety stworzyły klimat, w którym wychowywały się najmłodsze pokolenie. Ich utajony wdźwięk, waga ich doświadczeń życiowych, ich bohaterstwo czekają na upamiętnienie przez nowego Balzaka.

Dopiero w tym, jak się to powiada, „aspekcie” spoglądamy na decyzję dyrektora zorganizowania punktu kosmetycznego w fabryce. Jest to bodajże pierwszy zakład w Polsce, który zdecydował się na ten krok. Jest to objawem „innego” spojrzenia na człowieka pracy. Czyż to nie była wzruszająca rozmowa z ową młodą dziewczyną, robotnicą, która z wyglądu przypominała adeptykę Szkoły Aktorskiej? Czy szminka, puder, olejki, woski, henna, cały arsenał środków kosmetycznych jest wyłącznie lekarstwem dla ciała? Czy znaczenie tego faktu leży w prostym przeciwywrażeniu sławnych powiedzeń: „Wilki się nie myje, a żyje”? Czy pociecha stąd płynąca to jedynie ta, że przesąd koltuna istniał u nas w Polsce przeszło dwieście lat, a mimo to został przezwyciężony?

Nie walczę w tym felietonie o określony ideał piękna, który zależy od wielu czynników: trybu życia, pracy, odżywiania itp. Nie jestem zwolennikiem standardowych wzorów piękna. Nie rozprawiam na temat, jakie czynniki kształtują pojęcie urody „idealnej”. Obchodzi mnie jedno: moja „umalowana robotnica” świadczą o wytworzeniu się nowych kryteriów wartości kobiety, o przemianach zachodzących w organizacji naszego życia obywatelskiego. Kładę nam się pięknie „umalowanej robotnicy”!

DALSZY  
CIĄG  
ze str.

1

Historia ta rozegrała się z udziałem dwóch aktorów, a to: Marii Deryng — denatki i Janiny Stefańskiej — mordercy oraz tłumy statystów i epizodystów (sąsiadki, kochankowie, chłopci, dzieci, milicjanci itp.).

Udział w akcji Marii Deryng jest minimalny, zajmuje ona pozycję statyczną i jest raczej przedmiotem nie podmiotem działań. W chwili, kiedy dzięki pojawieniu się Janiny Stefańskiej, zajmuje miejsce w dziejach się wypadkach, ma już siódmy krzyżyk, niewielką rentę wdowią, syna w Szczecinie, astmę, chorą wątrobę, chromą nogę, niejaki pretensje życiowe (trwała odurzenie, szminka, sztuczna biżuteria) oraz, co najważniejsze, mały pokój, tuż nad bramą, w starej ruderze na Franciszkańskiej.

Janina Stefańska, lat dwadzieścia osiem, skończone dwa oddziały szkoły podstawowej, bez zawodu, raczej wysoka, blondynka, twarz pospolita, zdrowa, bez nadmiernej pretensji życiowych, a co najważniejsze, nie posiadająca żadnego pokoiu, przybywa kilka lat temu spod poddębickiej wsi do Łodzi dla podjęcia pracy w tutejszym przemyśle.

A więc Stefańska porzuca swoje dwie morgi, rodzinę, wiejski model życia, mentalność i obyczaj i pracuje w fabryce. Potem zaś w jakimś barze, jako pomywaczka. Wpierw mieszka u swojej ciotki. Potem wynajmuje sublokatorskie łóżko na Nowomiejskiej i wreszcie w 1936 r., kłopoty w pokoju Marii Deryng.

Od tego momentu datuje się pewien współzwiązek między bohaterkami historii, chociaż ich codzienne w tym współzwiązku trwanie wygrane jest raczej z elementów, które mogłyby tworzyć dramatycznie poprawne „delfinie” spraw.

Obie kobiety zaczyna łączyć coś więcej niż konwencjonalna wspólnota wynajmującego i wynajmującej. Razem jadają, razem spędzają czas, choć trudno ustalić tu jakieś generalne prawidłowości. Deryngowa, kobieta starsza i samotna, przejawia w stosunku do Stefańskiej skłonność opiekunkę.

Znała one nawzajem swoje sprawy i kłopoty i jeśli z czasem narastają między nimi niejaki konflikt, to nie mają one zbyt drastycznego charakteru, ani nie wykazują gwałtownych objawów.

Widome jest, że Stefańska rzuca pracę, siedzi przez tydzień w areszcie i sprzedaje ziemię.

Widome też jest, że Deryngowa, ta „dobra kobieta” albo „życzliwa kobieta” — jak charakteryzuje ją sąsiadki — kłopotuje się tymi sprawami, denerwuje się, gdy Stefańska jest aresztowana, wreszcie martwi się możliwością lekomyślnego roztrwonienia (użytkowanych ze sprzedaży) osiemnastu tysięcy złotych.

Stajemy u progu pierwszych konfliktów. Stefańska ma „narzeczonego”, lub ściślej „narzeczonych” z tym, że jeden z nich, Kazimierz Korzepe, jest narzeczoną bardziej stałym, można by rzec zasadniczym, potem zaś idzie cała hierarchia „narzeczonych” rozmaitej rangi, od długodystansowych, po zupełnie dorywczych.

Ow Korzepe, zofer, lat 44, mieszka z siostrą przy ulicy Limanowskiej. Stefańska może tam wleć nocować tylko w wypadkach, gdy siostra ta wyjeżdża. Wobec tego Korzepe bywał zaczyna i zostawał na noc w pokoiku na Franciszkańskiej. Deryngowa początkowo słabo protestuje, ugłaskiwana drobnymi pieniężnymi prezencjami. Potem jednak posuwa się aż do wymówienia Stefańskiej mieszkania.

Latem ubiegłego roku Deryngowa wyjechała była do syna do Szczecina. Wówczas Stefańska sprowadza do siebie koleżankę z dzieckiem i „jak jedne facety” siedziały u nich, to już następne na ulicy czekały — formuła rzecz sąsiadka Płaskowska.

# NIE CHODŹ NAD WODĘ

Korzepe nadal bywa na Franciszkańskiej. Coraz to zastaje tu innych mężczyzn, więc przykładnie tłucze Stefańską. Deryngowa broni dziewczyny, zabrania przychodzić Korzepe, ale potem robi „swej Jaśce” wymówki.

Stefańska dziś określa Korzepe lakonicznie jako „narzeczonego”, pisze do niego list z więzienia i traktuje jako człowieka bliskiego.

Korzepe w śledztwie oświadcza, iż wie, że Janina „siedzi w pierdlu”, nie wie natomiast, tj. nie może sobie przypomnieć, jak się ona nazywa i wywodzi: „To była taka narzeczona nie narzeczona. Początkowo myślałem, że narzeczona, ale ona miała dziesięciu takich narzeczonych, to co za narzeczona”. Potem stwierdza, że już od dawna nie chciał jej znać, że to ona za nim biegła i powodowała kontynuowanie znajomości. Obiektywna wersja o kształcie ich stosunków nigdy zapewne i nikomu nie będzie znana. Wiadomo tylko jeszcze, iż owa „odpedzana dziewczyna” pożyczła Korzepe 10 tysięcy złotych. Przynajmniej on tak twierdzi i tak rzecz formułuje. Należy przypuścić, iż wie, co mówi.

Sąsiadka Płaskowska natomiast wie od nieboszczeni Deryngowej, że pieniądze pożyczne zostały nie Korzepe, ale jakimś „wdowcowi”, który również był u Stefańskiej. Tak mówiła Deryngowej sublokatorska. „Wdowiec” miał za te sumy otworzyć sobie stragan na Zielonym Rynku. Prawdopodobnie wersja z „wdowcem” miała uspokoić Deryngową w kwestii bezpieczeństwa ulokowania tej sumy. (Nieboszczenka czuła awersję do zofera i nie wierzyła mu). Istotne jest co innego — jako przyrzeczenie do sprawy współzwiązki obu kobiet: Maria Deryng wyrusza na poszukiwanie owej budki. Chce sprawdzić, w trosce o aktywną Janinę Stefańską — czy jej pieniądze używane są zgodnie z przeznaczeniem.

Biega też po sąsiadkach, zawieszając im — jak to jest w zwyczajach w kamienicy na Franciszkańskiej — owe kłopoty zylazane z lekomyślnością w sprawach finansowych „jej Jaśki”.

W tym czasie „Jaśka” alias Stefańska coraz to znika z domu, to na kilka dni, to znów na całe tygodnie. W kamienicy głośno jest o jej „prowadzeniu się”. Deryngowa znów żąda od dziewczyny, by się wyniosła, ale sublokatorska zdaje się nie bierze tych żądań zbyt poważnie: Deryngowa zbyt jest do niej — zda się — przywiązana, zbyt samotna, zbyt brak jej jest środków do życia i zbyt często powtarza tę groźbę.

Teraz następuje splot blahych na pozór wydarzeń, których właściwy sens uwiadamnia się dopiero wówczas, gdy sprawa Stefańskiej staje się zawartością aktu prokuratorskich. Nad niektórymi z nich ciąży wyraźnie sprawa wspólnego pokroju, w którym najwidoczniej za ciasno jest jednej z mieszkanek (mimo iż nie daje się ona poznać jako zwolenniczka samotności), inne są na pozór zupełnie od niej oderwane.

Któregoś dnia Stefańska proponuje wdowie kupienie od niej pokoju. Maria Deryng odmawia. Biegnie też zaraz swoim zwyczajem do sąsiadek i zawiadamia je o propozycji, o swojej odmowie, „bo gdzie się podzielić”, o odpowiedzi Stefańskiej „u syna w Szczecinie” i swojej replie „lepiej na jednej desce, ale własnej”.

Po pewnym czasie Stefańska „mimochoodem” pyta znajomego milicjanta, czy w wypadku, gdyby starszka umarła, dostanie ona przydział na pokój.

Teraz znów sąsiadki opowiadają, że Janina Stefańska przeżywa okres intensywnych awansów towarzyskich w stosunku do swej gospodyni. Zaprasza ją na wycieczki, to do łaski łagiewnickiego, to nad staw Julianowski, to w odwiedzinach do rodziców swych na

wsi. Ułomna starszka nie pała się do turystycznych eskapad. Raz wszakże ulega, jadą nad ów Julianowski staw, śledzą nad wodą, ale starszka robi się zimno i wbrew naleganiom swej towarzyszki szybko wraca do domu.

Również planowane odwiedzin w rodziny na wsi odkładane są z dnia na dzień. To Deryngowa źle się czuje. To akurat wybiera się z sąsiadką do cyrku.

Wreszcie ustalony zostaje termin wspólnego wyjazdu na wieś.

Tu przerwę dla przedstawienia Czytelnikowi wyjaśnienia technicznej raczej niż merytorycznej natury. Od tego bowiem miejsca relacje o wypadkach, które zamierzam przedstawić, występują w rozmaitych wersjach i relacjach wielu osób. Janina Stefańska składa trzy różne zeznania. Opiaram się w swej relacji na wersji ostatniej, potwierdzonej zeznaniami świadków i całym przebiegiem śledztwa.

W nocy z 27 na 28 lipca Stefańska nie nocuje w domu. Przychodzi do pokoju Deryngowej rano i razem wyruszają one w drogę na wieś. Obie są wystrojone. Jadą pościągami, potem PKS. Wysiadają w Poddębicach. Potem idą pieszo przez rodzinne strony Stefańskiej. Mijają wielu ludzi, którzy poznały Janinę. Wreszcie przez różne wertepy (ułomna Deryngowa skarży się w drodze, że nie sprowadzono furmanki) docierają do rzeczki Ner. Przechodzą przez kładkę (Stefańska w drugiej wersji zeznań podawała, że tu potrafiła Deryngową, wrzucając ją do wody. Jednak wizja lokalna wykazała, że woda tu za płytka była, by się utopić i Stefańska sprostowała zeznanie)... a więc, przechodzą kładkę, idą kawałek brzegiem, potem przechodzą most, oddalają się od rzeczki i... ino. Stefańska proponuje odpocząć. Siadają na trawie. Nie wiadomo, czy Stefańskiej zabrakło siły przy realizowaniu swoich zamiarów, czy też nie było dogodnego miejsca. Fakt, że kobiety sielsko - anielsko siedzą sobie na łacie i nagle Stefańskiej przychodzi do głowy koncept. Proponuje, by wrócić nad rzeczkę i poczekać na chłopca, który ma tam nadejść i dalej je poprowadzić. Wraca. Siadają nad Nerem. Jednak Deryngowa lokuje się dosyć daleko od mulistego brzegu. Stefańska staje, podchodzi tuż nad wodę. Wstała tam. Starszka niecierpliwi się, że zapowiedzianego chłopca nie widać. Podchodzi. Pyta, kiedy on wreszcie przyjdzie.

Stefańska z całej siły pcha ją do wody. Starszka tonie. Po chwili już prąd unosi jej zwłoki. Stefańska idzie brzegiem za płynącym ciałem. Potem idzie ku wal Chrapy. Podchodzi do jakiegoś domku. Prosi o szklankę wody. Wraca do Poddębic. Potem do Łodzi.

Idzie na Franciszkańską. Wstępuje do sąsiadki prosząc o pocieszenie jej ogórkiem. Bierze ogórek. Wychodzi. Wchodzi do drugiej sąsiadki, nietknięty ogórek wrzuca do kosza. (Tworzenie alibi? Nerwy?) Idzie do siebie do pokoju. Przebiera się. Wychodzi. Noe spędza u swej „narzeczonego” Korzepe. („Nie, nie była zdenerwowana — zeznaje później zofer. — Była normalna”). Rano wstaje. Wsiada do pociągu. Wraca na miejsce zbrodni. Wraca jak w romantycznej balladzie.

W Poddębicach zostaje aresztowana.

To koniec historii. Wynika z niej, że nie trzeba chodzić nad wodę.

(Dokończenie na str. 4)



# POCZĄTEK I KONIEC „WIELKIEJ DROGI CESARSTWA” C z ę ś ć XX

Tajniki wywiadów,  
gabinetów i wydarzeń  
XX wieku

## OSCAR LINDAY SUPERFORTECA „ENOLA BAY”

### WYSTARTOWAŁA...

Laboratorium śmierci. — Ultimatum. —  
Decyzja zapada. — Grzyb atomowy nad  
Hiroshimą. — Kapitulacja.

Oak Ridge. Z lotu ptaka wielka litera „U”. Każde z jej ramion ma prawie dwa kilometry długości. 6 pięter. Powierzchnia dachów: 30 hektarów! W środku planowana jest cała wioska z domami, szkołą, kościołem, sklepami, placem zabaw. W 1944 roku, zakończono budowę pierwszej w świecie fabryki do otrzymywania U 235 — promieniotwórczego izotopu Uranu, zdolnego do łańcuchowej reakcji rozpadu jądra atomowego. Koszt: 2 miliardy dolarów. Na ówczesne ceny stanowiło to równowartość 100 fabryk samochodów klasy naszego Żerania, 11 tysięcy zatrudnionych robotników nie miało, najmniejszego pojęcia o co chodzi w tej całej abrakadabrze przewodów. Wiedzieli tylko, że to jest, w najwyższym stopniu tajemnicze. Oni to odebrali w Oak Ridge kilkunastu miliony dolarów. W sumie dających się zmieścić w dziesięciu kubkach do robienia babek. Stąd materiał rozszczepialny powędrował do New Mexico, gdzie w skalistych wąwozach Los Alamos zakonspirowany był zakład do produkcji bomb atomowych.

25 kwietnia 1945 r. ówczesny prezydent USA Truman otrzymał z Los Alamos meldunek: „Według wszelkiego prawdopodobieństwa w ciągu czterech najbliższych miesięcy zakończymy budowę najsilniejszej broni ze wszystkich znanych w historii. Jedną bowiem bomba może zniszczyć całe miasto”.

Truman miał czas do namysłu.

W czasie konferencji w Poczdamie otwiera drzwi na salę szef biura wojskowego Trumana. Jest podniecony. Wywołuje prezydenta na korytarz. Tu komunikuje mu słownym szeptem: „Na pustyni w New Mexico eksplodowała próbna bomba atomowa. Ogromna temperatura spowodowała wpa-

rowanie stalowej wieży, na której był zawieszony pocisk...”

Rozgorączkowany Truman wraca na salę. Dzieli się nowiną ze swym angielskim partnerem. Wspólnie dochodzą do wniosku, że trzeba o tym powiadomić Stalina.

26 lipca 1945 r. Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Chiny kierują do Japonii pierwsze ultimatum. Zostaje ono zredagowane w Poczdamie i przekonsultowane ze Związkiem Radzieckim. Oto w skrócie jego treść:

„Potężne siły lotnicze, lądowe i morskie są gotowe do ostatecznego ataku przeciw Japonii. Zastosowanie całej naszej potęgi wojennej oznaczać będzie totalne zniszczenie terytorium Japonii. Nadeszła dla Japonii godzina decyzji. Czy dać się prowadzić wprost do zagłady, czy zaniechać walki i kapitulować”.

Ultimatum pozostaje bez echa. Szaleńcy z ministerstwa wojny i sztabów ciągle wierzą w cud. Admirał Toyada wydaje sławetny apel: „Każdy lotnik żywa bombą! Każdy marynarz żywą torpedą!” W ten sposób liczy jeszcze na zniszczenie floty amerykańskiej, bez której desant na wyspy jest niemożliwy. Ale...

Ale w końcu lipca amerykańska flota ma już 96 pancerników i krążowników, 100 lotniskowców, 638 niszczycieli i 240 łodzi podwodnych. Stanowi potęgę większą, niż floty wszystkich pozostałych krajów świata razem wzięte. Na Pacyfiku wplywa flota Wielkiej Brytanii. Na lądowiskach wysp i okolicznych wyspach czeka blisko 100 tysięcy samolotów. Wyznacza się termin decydującego lądowania na głównej wyspie archipelagu japońskiego: 15 listopada 1945 r. Za białą kartą ultimatum czeka stalowa pięść...

Tymczasem krążownik „Indiana” płynie pełną parą ku Okinawie. W jego ładowniach

tylko dwie bomby... Decyzja ich zrzucenia już zapadła. Zanim jednak wydany zostanie rozkaz wykonawczy, w polach amerykańskich sił zbrojnych trwają nie kończące się debaty. Amerykanie lubią liczyć. Ci, którzy obstają za zrzuceniem bomby atomowej, udowadniają, że przy dotychczasowym nasileniu i determinacji obrony japońskiej, wojna musi trwać jeszcze dwa lata. I zginie w niej co najmniej 250 tysięcy żołnierzy amerykańskich, kilka milionów żołnierzy japońskich i kilkanaście milionów japońskiej ludności cywilnej. Argumenty powtarza Marshall w Poczdamie. Mówi: Japonię można pokonać albo zażartą, bezkompromisową walką o każdy dom — i wówczas czeka zagłada czwartą część ludności japońskiej — albo szokującym, niespodziewanym uderzeniem broni masowej zagłady, która niewątpliwie zreflektuje kierowników japońskiego państwa. Konkluduje: wybuch bomby atomowej będzie się opłacał zarówno Ameryce, jak i Japonii.

Bedzie się opłacał... Odmienne zdania jest dowództwo sił lotniczych. Twierdzi, że Japonię można zmusić do kapitulacji klasycznymi nalotami bombowymi i podejmuje się to osiągnąć przed terminem zamierzonego desantu. Nad Japonią operuje przecież kilkakrotnie więcej bombowców, niż nad rozległym terytorium Niemiec w końcu 1944 r.

Odmienne zdania jest dowództwo floty. Oni wiedzą najlepiej, że blokada Japonii jest zupełna, że do wysp macierzystych nie zawinie już żaden transportowiec. A dwie trzecie surowców i żywności pochodzi z przywozu. Pewni są, że nawet Japonia w tych warunkach nie będzie w stanie kontynuować wojny.

Zdecydowanie „przeciwne” jest dowództwo sił lądowych. Tradycyjnie Guadalcanal, Tarawa, Iwo-Jima okryły piechotę amerykańską chwałą w równej walce z nieprzyjacielem. Ludobójcze ułatwienia wojny nie są im potrzebne. Znąją dobrze swoją siłę. Wypróbowali ją.

Między wierszami napomyka się o moralnej odpowiedzialności za użycie przerażającej siły niszczycielskiej siły broni przeciw konającemu już przeciwnikowi.

Ktoś jednak decyduje za fachowców. W Waszyngtonie siedzi niewysoki, krępy człowieczek, który nie tak dawno jeszcze w Independence sprzedawał na ulicy krawaty. Śmierć Roosevelta dała mu w ręce władzę. Za rok nowe

wybory. Jedyna szansa, by przejść do historii...  
Decyduje.

Pułkownik Tiede wraz ze swoją załogą stoi w prostej linii na betonowym lotnisku. Melduje: „Załoga gotowa do lotu”. On tylko jeden wie z całej załogi, że pięciotonowa ogromna bomba, którą tak ostrożnie dzisiaj nocy ładowniawo na jego superfortecę zawieza zaledwie kilka gramów materiału zdolnego zgładzić całe miasto.

Załoga zajmuje miejsca. Motory kolejno zaskakują. Po chwili ryczą pełną siłą obrotów. Lotnisko jest puste... Superforteca „Enola Bay” startuje samotnie. Kierunek — Hiroshima.

Tego dnia nad Hiroshimą świeci słońce. Ruch jest normalny, żywy, gorączkowy. O 11-tej jękiwie wyją syreny. Alarm lotniczy. Wszyscy kryją się gdzie popadnie. Ulice zamierają. Po chwili pędzi nad miastem w locie koszącym dwumotorowy myśliwiec amerykański. I cisza. Po kwadransie syreny znów wyją. Odwołany. Ludzie wylegają na ulice. Ruch wzrasta i osiąga swe południowe nasilenie.

W tym czasie zbliża się do miasta na dużej wysokości samotna czteromotorowa superforteca B-29. Radarzyści z japońskiej obrony przeciwniczej widzą ją w swych ekranach. Ale nie ogłaszają alarmu. Po co?! Jeden samolot! Na pewno zgubił drogę...

„Enola Bay” nie zmniejszając wysokości nadlatuje nad miasto. Ludzie zatrzymują się na ulicach. Patrz. Nagle od samolotu odrywa się mały, polyskujący w słońcu przedmiot. Bomba?! Nie! Oto wkwitają białe parasole spadochronów. Polyskujący przedmiot zawisa na nich, kiwa się w łagodnym wietrze. Samolot powoli mija miasto. Ludzie stają, dziwią się, komentują...

I oto niespodziewanie zielony blask oślepił ludzi, a potworny wstrząs targnął ziemię. W jednej chwili Hiroshima zamieniła się w zwałę dymu i ognia. Nad miastem powoli wyrasta ogromny grzyb dymu — ponury zwiastun atomowej epoki.

Spodziewany szok nie następuje. Tokijska agencja „Domei” załobnym tonem komunikuje o zagładzie Hiroshimy, na którą „spa-

dły bomby nowego typu, o dużej sile zniszczenia”. Zaraz potem następuje informacja o doskonałym morale armii, która gotowa jest do odparcia ataku na ojczyznę. Szaleńcy chcą walczyć mimo wszystko.

8 sierpnia drugi cios: Związek Radziecki wypowiada wojnę Japonii. Wojska I Frontu Syberyjskiego przekraczają granicę Mandżurii. 9 sierpnia eksploduje druga bomba atomowa nad Nagasaki. Jeszcze silniejsza od pierwszej.

Admiral Toyada siedzi w gabinecie swej prywatnej rezydencji. Trzyma twarz w dłoniach. Nie, nie myśl. Nie może już nawet myśleć. Nagle za oknem słyszy słowa bojowej pieśni. Żołnierze idą równym szykiem, polyskując nowiutką broń. Prezentują się wspaniale. Śpiewają:

Gdyby się nawet ziemia rozpadła

Gdyby runęło niebo

Gdyby góry zmieszły się z morzem

Dzielne serca wiedzą, że

Niezniszczalne, wieczne, czyste

Święte cesarstwo.

Szli z tą pieśnią przez Filipiny, Malaje, Indonezję. Uderzyli groźnym jej refrenem w Australię. Świat przed nimi kłekał. Zwycięzcy. Dłż ziemia się rozstępuje i wali się niebo bronią potworną. Bronia, o której wywiad meidował, że jeśli zostanie wyprodukowana, to... koniec. Oni jednak wierzą wciąż. Wierzą do ostatka, że wielkie cesarstwo u progu swego trzecieściecia nie może zginąć.

Admiral Toyada wie jednak, że już nie ma sensu dalej. Ze nawet cud... Wie o tym od paru dni. Ale za to wie na pewno.

15 sierpnia 1945 r. Japonia przyjmuje warunki bezwzględnej kapitulacji. Z jednym, „tylko jednym zastrzeżeniem: suwerenność cesarza będzie respektowana. Oczywiście cesarza, który zszedł ze swej „Wielkiej Drogi”. Amerykanie akceptują.

Druga Wojna Światowa jest zakończona.

A oto zestawienie strat armii amerykańskiej i japońskiej na Pacyfiku:

|                    | Amerykanie | Japończycy |
|--------------------|------------|------------|
| zabici i zagubieni | 102.504    | 507.365    |
| ranni              | 83.078     | 108.071    |
| jeńcy              | 19.462     | —          |
| razem              | 205.044    | 615.436    |

(\*) Praktycznie Amerykanie brali do niewoli tylko rannych Japończyków. Dlatego w rubryce „Jeńcy” Japończycy nie figurują.

KONIEC

(Dokończenie ze str. 3)

Historia tedy jest zamknięta, tak jak i jej bohaterka.

Wieżenie damskie przy ul. Krasińskiego. Wchodzi młoda kobieta, która od biedy można nazwać nawet przystojną. Wpierw jest pogodna. Potem płacze. Wreszcie wpada w apatyczne zamyślenie. Czasem odpowiada apatycznie i obojętnie, czasem zaś wygłasza dłuższe, umiarkowane namietne tyrady, które niezbyt ściśle dotyczą pytania.

Sam przebieg wypadków jest prosty, jasny, opisany, dowiedziony ukoronowany przyznaniem się oskarżonej do winy. Pozostaje sprawa motywów, ta zawsze najciekawsza i najtrudniejsza do zanalizowania kwestia.

Stefańska powiada — Deryngowa ją dreczyła. — Co to znaczy? — Robiła wymówki, kazała się wynosić z mieszkania.

Jak to się stało, że niechęć wynikła z tak blawych przyczyn mogła zamienić się w postawienie o dokonaniu mordu? Jak i kiedy ono powstało? Jaka towarzyszyła mu kalkulacja.

Stefańska nie wie, nie pamięta, sama nie rozumie.

Prokurator zadaje pytanie: — czy

## NIE CHODZ NAD WODĘ

dla mieszkania? Stefańska zaprzecza. Zaprzecza expressis verbis. Ale po chwili już mówi, że zamyśl powstał wtedy kiedy Deryngowa kategorięcznie zażądała by sublokatora wyprowadzić się.

Pamiętamy, że dziewczyna szuka swobody mieszkaniowej. Pamiętamy o jej propozycjach odkupienia mieszkania. Wiemy, że pytała milicjanta czy dostanie mieszkanie jak „stara” umrze, pamiętamy, że z pracy w barze usunęła ją za to, że nie mając innego lokalu nocowała z „narzeczonym” w miejscu swej pracy. Motyw mieszkaniowy staje się więc oczywisty. Jego skrywanie też jest oczywiste: w obliczu sądu korzystniejsze są irracjonalne pobudki czynu niż pobudki niskie i pospolite.

Ale sformułowanie „mord mieszkaniowy” niczego jeszcze nie tłumaczy. Stefańska ma pieniądze,

Może, przy odrobinie wysiłku włożonego w poszukiwania, wynaleźć inne mieszkanie, zapewnić sobie za pieniądze swobodę przyjmowania kogo chce. Bo o to jej przecież chodzi.

I tu następuje paradoks. Stefańska wybiera rozwiązanie inne, z jej punktu widzenia wymagające mniejszego wysiłku, pewniejsze, łatwiejsze i szybsze. Jednym słowem mord ten można nazwać zbrodnią z oportunistą.

Łatwiej zamordować niż szukać mieszkania... W tej sprawie rozwiązanie psychologicznych zagadek stawia nas przed jeszcze trudniejszymi.

Można by pójść takim tropem: młoda, wiejska dziewczyna. Wielkie miasto. Sama. Praca w barze. Przygodne znajomości. Przygoda plus przygoda, plus przygoda równa się znieczuleniu na istotny sens te-

go typu przygód. Wszystko jedno, co, wszystko jedno kto, aby do łóżka. Istotny jest tylko ilościowy aspekt zagadnienia. (Oczywiście z udziałem dorywczych mikro sentymentów do mł. j. przygodnych partnerów). Zjawisko „stacjonowania”. Prosta droga do wszelkiego zła a więc i do mordu. Nie wymaga on konkretnych pobudek, bo „taka” dziewczyna posiada naturalną predyspozycję do zbrodni.

Nie. I nie prawda.

Z respektem traktując zjawisko zaistnienia faktu psychicznej predyspozycji w warunkach obcowania z baluckimi lumpami, możemy uznać ją tylko za okoliczność ułatwiającą zbrodnię, likwidującą psychiczne czy też moralne opory w rozwiązywaniu przy pomocy przestępstwa swoich życiowych problemów.

Alco nie jest to, i w tym wypadku być nie może, element determinujący mord. Potrzebny jest konkretny cel, bodziec, sprawa o którą warto ryzykować. Jest nią kłótnia na Franciszkańskiej. Jakże kruchy to i nie przekonujący motyw! Tym niemniej jest on prawdziwy.

Są ludzie, których zdolność rozumowania nie obejmuje całego łańcucha przyczyn i następstw, są umysły niezdolne do kalkulowania opłacalności swoich dokonań, kłopotania się o skutki czynów, które to skutki byłyby rozciągnięte w czasie.

Stefańska nie wsadzi ręki do wrzasku, bo wie, że się oparzy. Ale Stefańska morduje człowieka, żeby móc spokojnie przespać się z Korzypą albo z kimś innym, dziś, jutro, nie myśląc wcale o tym, że ktoś tam podejmie śledztwo, że łatwo odkryją, z kim Deryngowa szła nad Ner. że za tydzień, dziesięć dni, problem opłacalności czynu nie wytrzyma już żadnej kalkulacji.

A więc w Stefańskiej powoduje mord brak hamulców psychicznych, sprzężony z niedowładem intelektualnym w dziedzinie trzeźwego i wnikliwego rozumowania na dalszą metę. Mówiąc po prostu: lekkomyślność i praktyczne stosowanie teoretycznej (choć nie uświadamianej sobie) zasady „carpe diem”.

Prokurator zamyka akta. Stefańska wstaje. Jest spokojna. Powiada, że więzienie, jako takie, bardzo jej się nie podoba. O swojej ofierze mówi „ta stara”. Prosi o dostarczenie jej do więzienia cieplejszych rzeczy. Dopytuje o termin rozprawy.

Zostawiamy bohaterkę niniejszej historii w więzieniu. Zapewne na długo.

Autor zaś rzec może tylko tyle: jeśli kto nie ma mieszkania, niech lazi gdzie chce. Jeśli zaś ma — niech nie chodzi nad wodę.

JAN ADAMSKI



Tekst i zdjęcia:  
WŁODZIMIERZ S. MAREK

# KLAPSY ZA KLAPSY

W powietrzu aż słodko.  
— A niech no pani wyjdzie na targ, zobaczy pani...

Miedzy stertami gruszek, jabłek i śliw uwijają się osy. Mnóstwo os.

— Panie, kup pan klapsy, czyste, rasowe klapsy. Po złotemu, po złotemu, bo jadę...

Kupujących jednak wciąż jeszcze za mało. Mniej jak os. Kobiety przebierają w rasowych klapsach jak tylko chcą.

— A gdzieś pan tu z taką zupą przyjechał? I za to po złotemu?

— To zupa, panie, to zupa? Dojrzały królewski owoc, nie zupa.

Tyle na targu, w Łęczycy, w Kutnie, w Bedkowie, w Piatku.

Potem, pod koniec, jeszcze takie dramatyczne scenki, kiedy to chłop drapie się po łysinie i swoje z trudem zebrane klapsy, renklody wymiata z woza albo chłopakom rozdać. Darmo.

— Kiedyś by to wszystko rozdrapali i jeszcze w rękę... Po 10 złotych...

Tak. Tak. Ale właściwie ludzie kupowaliby i dziś znacznie więcej, rozkupiliby prawdopodobnie wszystko, gdyby...

Nie groziłaby nam nadprodukcja owoców, klęska urodzaju, gdyby...

Gdyby tu i ówdzie, u góry i u dołu pomyślano.

Wszyscy wiedzieliśmy, że idzie run na owoce. Można było w porę przygotować wagony „pekaesy” i sprawić, żeby cena jabłek nie wynosiła w Jastarni czy nawet Gdyni złotych polskich szesnastie (i to „psiarki”), a w Łęczyckiem złotych polskich jeden.

Można było przestawić na krótką metę „Hortensję” albo inną „Kare” na produkcję słoików do pasteryzacji owoców, czyli weczków, mówiąc po polsku. Kieliszki mogłyby poczekać.

Można było w państwowych spółdzielczych warsztatach drzewnych zamówić na wolny rynek takie jakieś improwizowane półeczki do składowania owoców albo po prostu sprzedawać ludziom trochę cienkich deseczek. Zrobiliby sobie półki i każdy by coś tam z tego „nadurodzaju” odłożył na zimę i przynajmniej nie musiałby Jerzy Walawski płakać w „Życiu Literackim” (nr 35 z 31. 8. 1958 r.), że „tata kazał, bo to dla mamy na półki” (mowa oczywiście, o kradzieży desek z budowy). Zresztą kiedy u mnie w domu była mowa o półkach, to też przez chwilę pomyślałem, że chłopak by mógł przynieść... z sąsiedniej budowy. No, bo co robić?

A swoją drogą ani jabłek, ani gruszek nie odłożymy, bo człowiek to wieczny „frajer”. Kupi zimą czasem owoców po dwadzieścia złotych i żona będzie mówiła: — Nasze dzieci to nigdy nie mogą...

— Ale wróćmy do tego „bo przecież”.

Można by przygotować akcję suszenia owoców, zbudować parę suszarni, w których miesiąc wcześniej wędziliby się rybki (szproty, ale o tym za chwilę). Wreszcie poczyć rolników, jak suszyć się owoce na słońcu, w piekarnikach i piecach do pieczenia chleba.

Można by zorganizować zakup owoców na raty, jak to przed pierwszym projektem „Express Wieczorny”.

Warto było zorganizować wyjazdy ekip do zrywania owoców, bo przecież przy dzisiejszych cenach rolnikom nie opłaca się.

Można by, można by, można by i byłoby zimą owoce i susz tak zwany marmolada.

Na Zielonym Rynku rwetes nie mniejszy jak w Zielonym Zagłębiu. Tu gniją ogórki i owoce na placu, tam w Zielonym Zagłębiu gniją na polach. Ludziska szarpia się jak mogą. Tacy na przykład z Podgórzyc kropneli się aż do Jeleniej Góry. Zabrali bodaj 30 ton.

— Samochód się zapłaciło i sprzedało się chociaż po dwa złote — mówi jeden z najteższych „badylarzy” podlęczyckich, pan Olejnicki — przydomek jak u Radziwiłła prawie, „kochanku mój”.

— A nasza spółdzielnia w biurze kręci się bawi i jedną dziesiątą tego skupuje, co kiedyś PSOW.



Brac i wybierać. Komu, komu po złotemu?

— Jednak co państwo, to państwo. Narzekają, że brali wszystko. Świnie się jabłkami nie karmiło, ani krów ogórkami...

Na dowód, że biurokracja, pan Olejnicki (rolnik z wyższymi studiami) pokazuje mi wezwanie do „natychmiastowej dostawy kalafiorów, bo sprawę kierujemy na drogę sądową” i to od własnej, chłopskiej spółdzielni, która Olejnicki zakładał, od „Bzury” w Łęczycy.

Sam widziałem, jak pan Olejnicki rozdawał tysiąc kalafiorów ludziom z Łęczycy za darmo, bo mu spółdzielnia „Bzura” nie przyjęła. Ale w biurokrację się bawia i to wtedy, kiedy na rynku badylarstwo-owocowym alarm, kiedy nie wiadomo, co, jak i gdzie „upychać”. Wezwanie, jako taki „signum temporis” odłożyłem sobie do teczek redakcyjnych.

\* Tymczasem sąsiedzi pana Olejnickiego pasa świnie jabłkami, a sam pan Olejnicki przyzwyczail już krowy do ogórków.

W Brazylii rzuca się kawę do morza. A u nas?...

— Ale przyrzekałem coś o szprotach. Skoro więc padło słowo morze, może powiem o tych smakowitych rybkach.

Oto sytuacja w „Zielonym Zagłębiu” przypomina mi jako żywo podobne wydarzenia na Helu ze szprotał. Tam też rokrocznie pojawiają się ławice szprotek i też katastrofa urodzaju — tylko że na ryby. Są dni, że nie ma ich kto odebrać, wreszcie nie opłaca się łowić, wreszcie odtłowione szproty zakopuje się w piasku. Sieci szprotowe to już tylko dekoracja nadbrzeża w Jastarni. A przecież też by można to porządnie zorganizować, zapobiec marnotrawstwu. Nawet w sposób analogiczny do owocowo-warzywnego.

Rybacy mówią, że ryby śmierdzą od głowy. Od głowy takiego, co zajmuje się dystrybucją i przetwórstwem rybnym...

Miałem też coś wspomnieć o spirytusie. Oto okazało się, że wszystko, co uprzednio powiedziałem, to bujda i „pestka”. Zadnego kryzysu owocowego nie będzie, bo oto jak podaje poczytne „Życie Warszawy” (nr 211 z 3. IX. 1958 r.) uczeni nasi sięgnęli do historii i przypomnieli sobie metody Kazimierza Wielkiego — pędzenia spirytusu z owoców. I wkrótce nasze

gorzelnie zażegnają niebezpieczeństwo! „Życie Warszawy” powołuje się przy tym na autoritet wielkiej Francji, gdzie „pędzą spirytus z buraków cukrowych, melasy i owoców”. Pisze, że „również Bułgaria nie używa ziemniaków do wyrobu spirytusu i pędzi go z owoców”.

Oto proszę miłych dzieci polskich, nie martwcie się, nie zmarznąją się owoce. Zrobi się z nich spirytus i tata obok zwykłej, ziemniaczanej, żytnej i chlebskiej ryżówki, pił będzie jeszcze owocówką polską. Sok na aperitif, owoce na wódek!

I to jak się dowiadujemy za „Życiem Warszawy”, Min. Rolnictwa i Min. Handlu Wewnętrznego popierają projekt i potrzeba jeszcze tylko zgody Min. Przemysłu Spożywczego i Min. Finansów (ale tu chodzi tylko o parę groszy i odpowiednio niską cenę, bo to kupują państwowe gorzelnie).

W ten sposób do naszych osiągnięć odżywniczych dorzucimy jeszcze trzy tysiące ton spirytusu, wartości około pół miliarda złotych!

Tak więc żadnej klęski owocowej nie będzie...

A teraz jeszcze kilka obserwacji z Zielonego Zagłębia. Oto znani ze swego skapstwa badylarze obdarowują teraz swych krewnych workami owoców. Piszą życiwe listy: „Przyjeżdża, kochani, dostanieta jabłków, i gruszków ile chceta”. Jada dziś ci biedni krewni z Łodzi do Łęczycy, Kutna, Bedkowa, rozjeżdżają się po wsiach i taszcza worki z owocami. A przecież i na Zielonym Rynku można prawie za darmo, w każdym razie za tę cenę straty czasu i biletu na pewno.

I jeszcze jedno. Skończyły się kradzieże owoców. W tym roku milicja na pewno nie będzie miała ani jednego doniesienia (ciekawe dla Instytutu Nauk Społecznych) tylko dużo, dużo ton ukradnie nam nieublagany czas. Mimo pomocy gorzelnictwa tysiące ton owoców spadnie i zgnije użyźniając sady, które je dla niewdzięcznego ludu zrodziły.

Kiedy już napisałem ten zielony reportaż, kiedy natykałem się słodkiego powietrza dowoli, zająłem jeszcze do punktu skupu



Zielony Rynek. W oczekiwaniu na spuściznę po... Kazimierzu Wielkim...

owej łęczyckiej „Bzury”. Nie zastanawiałem się, że jeden z dostawców. Zawzięli się. Znaleźli już inne drogi, „na prywat”. Wreszcie po całym kraju handluje dziś różni agenci, handlują z upoważnieniami i za pieniądze takich różnych „Bzur”. Interesy robiąc oczywiście dla siebie. Nawet nie potępiam tych drobnych przestępców. Bo skoro w instytucjach uspołecznionych o tych sprawach nie pomyślano, to niech choć kombinatory rozprowadza owoce po kraju, przynajmniej się cena obniży. Za-

wsze to lepsze — od kontrofensywy gorzelnictwa.

WŁODZIMIERZ S. MAREK

P. S. Już po napisaniu artykułu dowiedziałem się, że ruszył eksport. No, nareszcie pomyślna wiadomość.

odgłosy

str.  
5



# KONIEC PORY ROKU

Tymczasem wspomnij lato, które oto mija,  
Chwile wieczorne, ranne i zielone drzewa —  
Prawda zdarzeń jak obraz skończony się związa,  
A rzeczywistość inna w sercu twoim śpiewa...  
(J. Iwaszkiewicz — Lato 1932)

Na przekór przytoczone-  
mu czterowerszowi nie bę-  
dzie tutaj mowy o Jaro-  
stawie Iwaszkiewiczu, choć  
właśnie on, jak żaden inny  
może poeta polski, czy to  
w swojej prozie czy też  
poezji zatrzymał i utrwalił  
w sposób nieporównany  
wszystkie uroki jesieni.

„Jesień idzie. Tak mało  
życia ci już zostało...” —  
napisał St. R. Dobrowolski  
i te ujmujące swoją pro-  
stotą słowa wziął Iwaszkie-  
wicz za motto do cyklu  
poświęconego jesieni pt.  
„Warkocz jesieni”.

A więc jesień. Rozpostar-  
ty krajobraz wymienia ko-  
lory. Oto jest chwila, żeby  
żegnać i wracać. Czeka cię  
pociąg ze smutką dymu,  
banalna sceneria dworca i  
uścisk dłoni. Wieczorna  
mgła i terror ulic. Gdzie  
jesteś? Gdzie byłeś? Dokąd  
wracasz? Trzeba zmienić u-  
mówienie własnego wne-  
trza. Trzeba skontrolować  
zwyrodniały schemat myśli.  
Wyrzucić do lamusa bez-  
sensowną indukcję kroków  
na białej tarczy plaży. Wła-  
śnie na plaży. Plaża staje  
się rekwizytem modnym i  
efektownym. Eksploatuje ją  
film, zresztą ze zmiennym  
szczęściem. Plastyka także  
odwołuje się do tej prze-  
strzeni piasku i ludzkich  
ciał (Renato Guttuso). Robi  
to w końcu literatura. Cze-  
mu przypisać to powodze-  
nie? Chyba temu, że plaża  
jest swoistą kwintesencją  
letnich rozkoszy. Jest naj-  
prostszą manifestacją ruchu  
i w pewnym sensie jakimś  
surogatem niesprawdzalnej,  
wydumanej (nad którą nikt  
już nie duma, niestety) Ark-  
adii.

W filmie jest ona scene-  
rią łatwą i potencjalnie bio-  
rącą o dosyć dużych możli-  
wościach plastyczno-dyna-  
micznych. Cóż za teren dla  
ruchliwego operatora i in-  
teligentnego reżysera! Ale  
i nietrudno tutaj o banał.  
Oto pusta przestrzeń pia-  
sku fotografowana z góry.  
Kamera jedzie do przodu i  
już faluje morze, grzywy  
plany i gdzieś tam czło-  
wiek... kamera jedzie do ty-  
tu — pusta przestrzeń, fa-  
da w terenie, pusta skrzyn-  
ka, suche drzewo. W górze  
ciężkie, ołowiane chmury.  
Dziewczyna spogląda w nie-  
bo i nagle trzy odrutowce...  
etc. etc. Czy można inaczej?  
Nie wiem. Chyba jednak  
można.

A co z literaturą? Chcę  
tutaj mówić o pewnym  
wierszu, nie znanym zupeł-  
nie polskiemu czytelnikowi.  
Wiersz to i o plaży, i o je-  
sieni, o pożegnaniu i o po-  
wrocie. Słowem, wiersz o  
przemijaniu. Napisany, nie-  
estety, po angielsku. Odwa-  
żę się dokonać rzeczy para-  
doksalnej — opowiem ten  
wiersz, streszczę go. Rzecz  
to dosyć ryzykowna, ale o  
tyle ułatwiona, że znako-  
mity, współczesna poezja  
anglosaska posługuje się je-  
zykiem obrazów obok języ-  
ka pojęć, albo też te ostat-  
nie wyklada symbolicznie  
niejako — poprzez obraz.

Najpierw o tytule i auto-  
rze. Tytuł brzmi „End of  
season”, co można przełożyć  
przez bądź to — „Koniec  
sezonu” — ale to zbyt wie-  
loznaczące i mało precyzyj-  
ne lub „Koniec pory roku”  
i o to chyba chodzi poecie.  
Autorem „End of season”  
jest nie byle kto, bo sam  
Robert Penn Warren. Czy-  
telnik się zdziwi pewno w  
tym miejscu. Co za „sam”?  
A właśnie.

R. Penn Warren to zna-  
komity krytyk, prozaik i  
tęgi poeta. W roku bieżą-  
cym otrzymał za tom poezji  
nie byle jaką nagrodę, bo  
nagrodę Pulitzera. Jest on  
autorem kilku powieści  
(m. in. „Nocny jeździec” i  
„Wszyscy ludzie króla”) oraz  
wielu esejów.

W Polsce prawie zupełnie  
nie znany, jeśli nie liczyć  
kilku o nim wzmianek. Ale  
do rzeczy. „End of season”  
zaczyna Penn Warren od  
makazu, imperatywu. For-  
ma to, czy raczej figura  
retoryczna dosyć częsta w  
dzisiejszej, uczoniej, dydak-  
tycznej poezji anglosaskiej.

Tak więc Penn Warren  
nakazuje opuścić plażę. To  
stwierdzenie, ta myśl —  
choć spóźniona — ma moc  
ostateczną i nieodwołalną.  
Oto obraz niebieskich od-  
dychających gór (chmury) i  
czarnych chłopców, naśla-  
dujących krzyk ptaków. A  
teraz swoisty kosmopolityzm,  
czy jak kto woli popis lin-  
gwistyczny. Poeta znów na-  
kazuje:

„Porzuć plażę, spiaggia,  
playa, plage czy spa  
Gdzie zawsze zaczyna się  
tak łatwo...”

Odnajdujemy tutaj — nieco  
nawinnie może traktując za-  
gadnienie — aspekt uniwer-  
salny tej poezji. Ale oto i  
precyzja, i żart, i ironia da-  
ją znać o sobie, bo czyż te  
trzy elementy nie dochodzą  
do głosu w drugim wiers-  
zu przytoczonego cytatu?  
Trzeba zostawić działka w  
Arkansas, leczącego reuma-  
tyzm u Zródel, dziadka,  
który „spal jak dziecko” i  
zaufawszy mitologii „zbru-  
kał ręce w Lecie, jak inni,  
inni przedtem”. Współcze-  
sność, przeszłość i ponadza-  
sowność splatają się w wiers-  
zu Penn Warrena w sposób  
znakomity i pozornie niedo-  
strzegalny. Oto aforystycz-  
ne, z przymrużeniem oka  
wypowiedziane stwierdze-  
nie:

„Gdy wody obmywają na-  
szą winę i tańczą w słońcu...”

i zaraz aluzja do chrztu  
Chrystusa w rzece Jordan  
oraz do Wergiliusza, opro-  
wadzającego Dantego po  
piekle. Zostawmy te trudne  
i wieloznaczne obrazy. Te-  
raz już spokój i pewność  
przemawiają słowami poe-  
ty. Przeświadczenie o po-  
wrocie do miasta wypowia-  
dają usta poety XX wieku,  
a więc demiurga własnej  
mitologii, filozofa, psycho-  
loga, a nawet sportowca.  
Stać go na rozszyfrowanie  
pozy i ocenę pozornych za-  
chowań człowieka. („Po-  
zdrowisz w mieście właści-  
wą twarz, którą teraz skry-  
wa maska podróży, plama  
przygody...”).

I tutaj znów imperatyw:  
po powrocie do miasta prze-



Tak kiedyś na jednym ze  
swoich tomów („Dzieńce  
konsystorskie”) podpisał  
się Tadeusz Boy-Zeleński.  
Sadzę, że z równą słuszo-  
ścią i bez uchyby dla wielkiego  
Boya można tak nazwać Stani-  
sława Jerzego Lece, autora  
„Myśli nieuczesane” (\*). Cho-  
ciaż twórczość Boya składa się  
z wielotomowych długich roz-  
praw i wywodów, to jednak  
mądrość jego przejawiała się  
przede wszystkim w krótkich,  
często jednozdaniowych aforyz-  
mach, jak np. „W tym naj-  
większy jest ambaras, żeby  
dwoje chciało na raz”, albo „Pa-  
ralizm postępowy najzaniejsze  
trafia głowę” lub wreszcie  
„Każdy mówi o czym innym,  
jak zwykle w kółku rodzin-  
nym”. Z tychże powodów do  
najcenniejszych ze swoich tak  
licznych przekładów zaliczał  
Boy-Zeleński szczupły zbiór  
krótkich aforyzmów i refleksyj  
Chamforta pt. „Charaktery i  
anegdota”.

Stanisława Jerzego Lece, au-  
tora kilku tomów wierszy li-  
rycznych i kilku tomów rymo-  
wanych satyr, można by na-  
zwać polskim Chamfortem, ale  
nie ze względu na te właśnie  
tom wierszy i satyr, lecz ze  
względów na bardzo szczupły to-  
mik aforyzmów prozą pt. „My-  
śli nieuczesane”. W nich bo-  
wiem okazał się najbardziej  
zrównoważonym medretem, wy-  
mierzającym „sprawiedliwość  
ludziom i sprawom tego świe-  
ta miarą zdrowego rozsądku”.  
Ale ta miara jest właśnie naj-  
trudniejsza do określenia, bo  
Lec nie zajmując żadnej okre-  
ślanej postawy ideowej czy  
doktrynalnej, żadnej poży wy-  
znawczej, a tylko punkt widze-  
nia w każdej sprawie najbar-  
ziej i najwyważniej ludzki,  
no i przez to właśnie jest naj-  
istotniejszą filozofią i medretem.  
Jest wrogem wszelkiej nie tyle  
doktryny, co doktrynalności, to

\*) Stanisław Jerzy Lec: „My-  
śli nieuczesane”. Wydawni-  
ctwo Literackie, Kraków 1958,  
str. 44 i 45.

Na żadnym zegarze nie znajdziesz wskazówek do życia.

Okno na świat można zasłonić gazetą.

Chociaż krowie dąs kakao, nie wydoisz czekolady.

Koniom i zakochanym inaczej pachnie siano.

Gdybyż jeszcze kozła ofiarnego można było doić!

Zdarza się, że haczyk zostaje połknięty razem z ryba-  
kiem.

Komu poślubić wolność, żeby była płodna?

W piekle diabeł jest postacią pozytywną.

Myśli niektórych ludzi są tak płytkie, że nie sięgają na-  
wet ich głowy.

Róże pachną zawodowo.

Wiatry wieją bardzo przeźroczysto.

Bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie, a co ludziom?

Stoły nie rozświetlają ciemności.

Kto nabiera wody w usta, niech nią przynajmniej niko-  
go potem nie opłuwa.

ba się nauczyć nowego je-  
zyka, „ale on nie będzie ci  
pomocny ani w szkole, ani  
w nawiąkach czy kawiarni”.  
Śmiałem twierdzić, że chod-  
zi tu Penn Warrenowi o je-  
zyk milczenia, język cisy,  
język wreszcie sprawiedli-  
wej obserwacji faktów. W  
następnej strofie wyjaśnia  
to bliżej. „Czystość była  
młodością, a doskonałość —  
pisze pięknie — snem no-  
wożeńca lub marmurowym  
marzeniem atlety”. Żywił  
czasu narasta w wierszu  
Penn Warrena. Za chwilę  
będzie mowa o ostatnim  
dniu, ale zanim to się sta-  
nie poeta przez moment bę-  
dzie jeszcze bezwzględny,

ironiczny i... efektowny. Oto  
znów aforystyczne:

„Albowiem wszystkie nasze  
rozmowy to klucz do naszej  
wspólnej zbrodni...”.

I już koniec. Poeta dwu-  
dziestego wieku, to poeta  
wyjątkowy. Interesuje go  
wiele spraw i wiele rzeczy.  
Nie stroni od starożytnej  
mitologii, potrafi się zajmo-  
wać egzegezą Pisma Św. i  
psychoanalizą, pasjonować  
go może medycyna, ale nie-  
obecnie mu są także rozkosze  
nurkowania.

Takim jest Penn Warren.

## NOWE WIERSZE

Ludwik

### Nostalgia

Czy dlatego, że mnie kochasz,  
że cię kocham, żeś mi miła,  
czyś mi za to razem z dobrem  
tyle złego wyrządziła?

Nie znam twoich gwiazd,  
Na próżno.  
Twoja światłość dla mnie obca,  
ale płyną bliskie słowa,  
ale płonie gwiazda nocna.

Kiedy więzisz mi w ramionach,  
zadrży twoje serce ciemne,  
że tak wszystko razem minie  
najszczęśliwsze... nieprzyjemne...

Ja myślałem, że dziewczęta  
w żółtych sukniach tańczą w lesie,  
a to smutne szumy wichru,  
a to liście, a to jesień.

Wodę z stawów puszczali,  
lśniące ryby niosą w koszach.  
Pojeździemy jeszcze razem...  
Na pastwisku zarzał loszak...

W naszych lasach wrzasy kwitły  
górkim słońcem, miejską nocą.  
Gwizd przeciągły — tak się bała...  
to odchodził ranny pociąg.

Może kiedyś się zadziwisz  
ile smutku w mojej głowie —  
lecz choć będziesz najdalej,  
nie zapomnij... nie zapomnij...

Jesień pada bezustannie.  
Chciałbym jeszcze cię zatrzymać —  
Uśmiech twój w oddali znika...  
I nie będzie. I już nie ma.

Chociaż boisz się rozstania,  
przecież skarżysz się daremnie,  
ty odejdziesz, ja odejdę —  
Nie przeze mnie... Nie przeze mnie...

### Pogoda

Wesołe wiatrakł trzaskały skrzydłami,  
porywając niebieskie obłoki,  
melly ziarno na krupy, na makę  
pod słońcem, pod gwiazdami  
i rycearz jechał wysoki  
w zawody z szumiącymi wichrami.  
Kolysała się nutą ptaków leśna brama  
bielejąca okwiatem dzikich czereśni,  
z fali jeziora promiennej budziła się świetlista  
(Goplana...

A ja pisałem gorące pieśni  
zbierałem kszątki i tomy,  
dom mój kwitł w sadach, dokoła domu  
już dojrzewały owoce wczesne.  
Droga mnie wiodła przez las pod gród,  
gdzie złote pszczoły zbierały miód.  
Przy jasnej rzece, przez wonny brzeg  
jechałem w świat w kołyszącym pojeździe,  
słyszałem... młyn szedł —  
słoneczny wróbiarz białymi kołmi powoził...  
Nad tęczą łaki śpiewnie się snuł  
przełot żorawki, klucz śmiały pieśni —  
od domu doleciał uśmiech...  
kiś białego bzu...  
Jakże jest dobre życie. —

Ideę można dogmatować do końca.

Ciemne okna są czasem bardzo jasnym dowodem.

Jak ćwiczyć pamięć, by umieć zapominać?

Czasem nawet głupi but pozostawia po sobie niezni-  
czalny ślad.

I miedziane czoła są pełne blasku.

Cóż eunuchowi po cywilnych ślubach?

Żyć jest bardzo niezdrowo — kto żyje, ten umiera.

Czy nagie kobiety są inteligentne?

Nie jeden, co pchał się na świecznik, zawisł na latarni.

Głupota nie zwalnia od myślenia.

Myśmy z czerwonych wysp na poduszki zrobili sztandary,  
a inni ze sztandarów zrobili wyspy na pierzyny.

Ostatniego dnia nakazuje  
nurkować. Nurkować „do  
modrego światła”, gdzie  
nie może przebywać żaden  
głos”. Zaznacza przy tym  
ironicznie „jeśli lekarz po-  
zwoli”.

Kończy swój wiersz pięk-  
nie i stanowczo. Trzeba  
wracać, trzeba wracać mi-  
mo te wszystkie białe i mo-  
kre rozkosze. Trzeba wr-  
acać. („Ale poczta czyha w  
skrzynce domu, gdzie miesz-  
kasz”). I oto pojawia się w  
„End of season” akcent pe-  
wności i niezachwianej wi-  
ary. Poeta każe wierzyć w  
Nadzieję, a właściwie pre-  
cyzuje to inaczej. Każe za-

stanawiać się długo „nad  
prawdziwą naturą Nadziei,  
której oko jest okrągłe i  
nie mruga”. To wszystko.  
Ktoś znalazłby w tym mo-  
że akcent chrześcijański —  
ja myślę, że to swoista re-  
zygnacja prawie radośna i  
optymistyczna. Nie żąda  
Penn Warren niczego wię-  
cej od swojego rozmówcy,  
któremu rozkazywał porzu-  
cić plażę, uczyć się nowego  
języka i nurkować do „mo-  
drego światła”. Każe mu  
ufać i wierzyć, że powróci  
lato i krzyk mew, i falowa-  
nie morza. Ten pozorny  
minimalizm wiersza jest  
przecież śmiałym osądem  
ludzkiego przemijania.



Świeżawski

## Roxolanka

Może się jeszcze kiedy spotkamy na łęgach  
pośród zielonych przyćmień w słonecznej gęstwinie  
— popołudnie dźwięcznie toczy się ze wzgórz  
złotem polyskując na równinie  
zanim  
o cienie wierzb zaczepi księżyc złotorogi.

Śmiesznego księżyc nad przelazem  
będzie co noc przybywać więcej,  
może pójdziemy kiedyś razem  
odszukać chwile pożegnane,  
brzozowy mostek  
i dwa zerwane z drzewa grona.

Omszałe ściany wyrosły tajemnicą  
dziwożony w zielonych wiankach —  
wejźmy w leśny parów  
w powrotnej drodze noc nas zaskoczy  
ciemnego lasu wonna kochanka.

Na leśne dróżki w śpiewnych gąszczach  
wiatr pożółkłych liści nawiał,  
w samotnym blasku zatopiony  
daleki, szumny, leśny pokój —  
woda dzisiaj w rzece przejrzystsza,  
jesienny promień świeci jaśniej,  
nachyl się nad tonią, roześmiej się i pokraśnij.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

# Znów czytamy Conrada

Jednym z najbardziej potrzebnych i pożytecznych przedsięwzięć wydawniczych ostatnich lat jest niewątpliwie wznowienie i systematyczne konfynuowanie edycji dzieł Josepha Conrada. Obecnie znaleźć można w księgarniach kilkanaście tytułów conradowskich, zapowiedziane są dalsze. Z okazji niedawnego wydania czterech pozycji z tej serii, przeprowadziłem na terenie Łodzi małą ankietę na temat pożytności autora „Lorda Jima” w chwili obecnej.

W „Domu Książki” — na podstawie danych dostarczonych przez księgarnię — powiedziano mi, że Conrad „dziś” bardzo słabo i za potrzebowanie łódzkich księgarń na jego książki stale i wydawnictwa maleje. Czegoś wręcz odwrotnego dowiedziałem się w bibliotekach i wypożyczalniach miejskich. Tu stwierdzono całkiem stanowczo, że Conrad cieszy się ogromną poczytnością, a największe zwolenników ma wśród młodzieży i czytelników „bardziej wyrobionych”. Ta sprzeczność opinii, pochodzących z dwóch pokrewnych źródeł, tłumaczy się bardzo prosto: książki, po ostatniej podwyżce, nie należą u nas do artykułów najtańszych — i w niejednym wypadku zmusza to miłośników tej czy innej lektury do powściągliwości w zakupach. Ze względu na materialnych bez porównania łatwiej jest książkę wypożyczyć, niż nabyć, toteż przeważnie się ją wypożycza.

W związku z obchodowym niedawnym stuleciem urodzin Conrada pisano o nim bardzo dużo. Byłoby więc dzisiaj rzeczą zbędną i niecelową powtarzanie szczegółowych informacji, rozważań i analiz, publi-

cowanych w okolicznościach rocznicowych. Skoro jednak wydawcy obdarzyli nas ostatnio dwiema powieściami Conrada („Złota strzała” i „Smuga cienia”) oraz dwoma zbiorami opowiadań, nie od rzeczy może będzie wspomnieć bardzo sumarycznie o pewnych zasadniczych cechach twórczości pisarza, którego nasz wybitny anglista, prof. Roman Dybowski pięknie nazwał „królewskim darem Polski dla świata”.

Pozwól sobie mniemać, że takie krótkie resume zachęci mniej wyrobionych czytelników do zapoznania się z twórczością Conrada, zaś młodzieży, która go tak chętnie czyta, pomoże dostrzec w jego dziełach nie tylko zajmującą, egzotyczną, często sensacyjną fabułę, lecz i głębsze, istotniejsze treści.

Cechą niewątpliwie najbardziej znamionną i uderzającą jest w tej twórczości rzetelny autentyzm. Conrad — to po prostu wzór autentyzmu, boć przecie zanim został marynistą był naprawdę marynarzem, a tematy i postaci swych powieści i nowel czerpał niemal zawsze z faktów rzeczywistych, z najprawdziwszych przeżyć i doświadczeń własnych.

Ale pisarstwo Conrada, na tym autentyzmie materialu oparte, jest jednak czymś więcej, niż beletrystyką o szczególnie wysokich walorach narracyjnych. Służą tu bowiem one do wydobywania i podkreślenia pewnej problematyki moralnej, będącej niejako duszą utworów Conrada. Problemy i konflikty związane ze sprawami honoru, godności ludzkiej, odpowiedzialności, poczucia obowiązku itp. spotykamy tu niemal na każdym kroku, choć w różnych formach i warian-

tach. Swolich bohaterów Conrad stawia zazwyczaj w sytuacjach niepowodzeń, dramatycznych, stanowiących próbę charakteru, sił duchowych, moralności. Ludzie Conrada walczą z losem, z własnymi namiętnościami, słabościami, błędami — i przegrywają często tę walkę niezdolni do wydarcia się z pęt, które ich wiążą, z osamotnienia, które ich toczy i paraliżuje. W konstrukcji losu Conradowskich postaci błakają się echa bardzo polskiego romantyzmu — i to właśnie przede wszystkim różni autora „Ocalenia” — pisarza angielskiego od wszystkich współczesnych mu (i późniejszych) pisarzy angielskich.

Na jeszcze jedno warto zwrócić uwagę: w twórczości Conrada, która tak często ma za tło egzotykę dalekich mórz i lądów, a w centrum akcji stawia ludzi „kolorowych”, nie znajdziemy nigdy nawet śladu niechęci lub dyskryminacji rasowej — przeciwnie autor niekiedy prezentuje tych nieuropejskich bohaterów w taki sposób, że górują oni moralnie nad Europejczykami.

Zarzucało Conradowi nie raz fatalizm i pesymizm, wypominano motto jednego z opowiadań ujęte w słowa „Życie jest tragicznym szaleństwem”. Cóż robić, skoro w życiu Conrada nie brakło momentów, skłaniających do bardzo gorzkich podsumowań: dwie całkiem nieszcześliwe miłości w wieku młodzieńczym, a później stosunkowo wczesne rozstanie się z zawodem żeglarskim z powodu złego stanu zdrowia (tej rozłąki Conrad nie mógł przeboleć do końca życia) — to, do prawdy, okoliczności, nie mogące usposobić człowieka o Conradowskich dyspozycjach psychicznych do radosnych i pogodnych koncepcji istnienia.

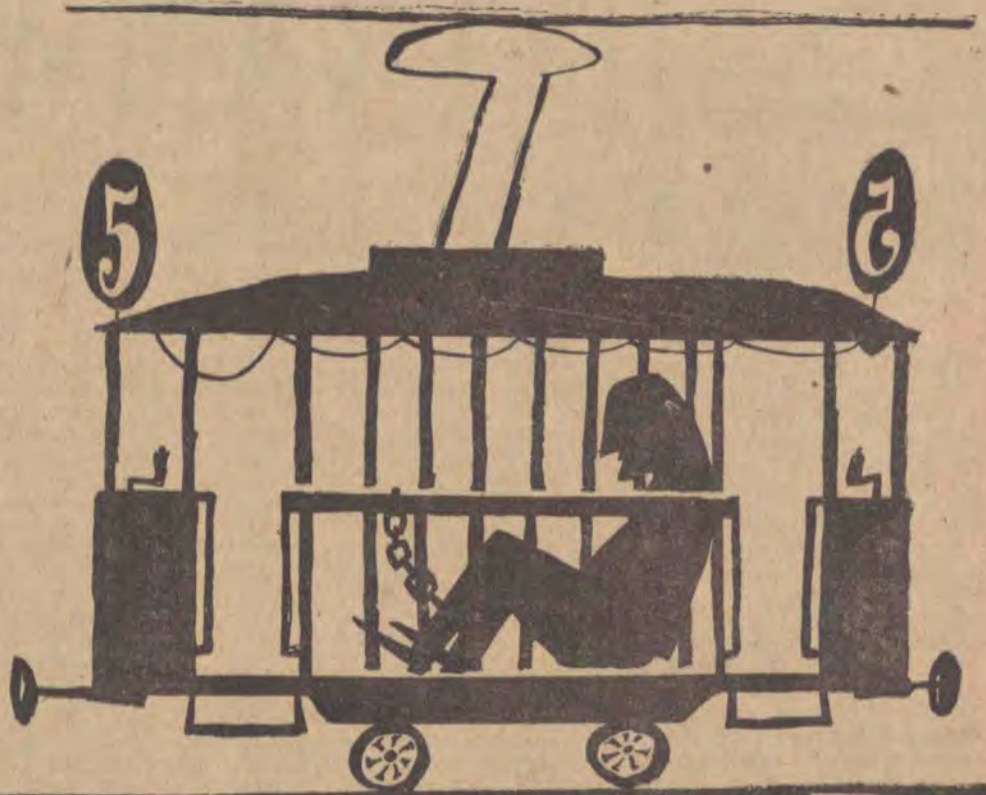
Wydane ostatnio (w serii „Z pism Josepha Conrada” — PIW) dwie powieści — „Złota strzała” i „Smuga cienia” mają charakter wybitnie autobiograficzny. Pierwsza z nich wiąże się z historią bardzo dotkliwej przygody miłosnej, zaznaczonej przez Conrada we Francji, u progu jego kariery żeglarskiej; druga jest zbeletryzowaną relacją o pierwszej podróży morskiej autora, którą odbył jako samodzielny już dowódca statku, kursującego pomiędzy Australią i Archipelagiem Majajskim. Wznowione w tejże serii wydawniczej tom — „Sześć opowiadań” ma inne źródła genezy: opowiadania bowiem opierają się na faktach prawdziwych, zaczerpniętych jednak nie z przeżyć osobistych autora, lecz z opowieści osób postronnych, bądź też z materiałów, w książkach lub czasopiśmie publikowanych. „Wybór nowel”, wydany przez „Ossolineum”, zawiera również sześć pozycji, poprzedzonych obszernym wstępem Stefana Zablockiego. Wśród tych opowiadań zamieszczono dwa piękne dokumenty Conradowskich tęsknot patriotycznych: „Młodość” i „Amy Foster”.

Problem praktycznego odejścia Conrada od polskości, której w głębi serca nie wyrzekł się i nie zaparł nigdy, to sprawa bolesna, sporna i dyskusyjna, bodaj czy zdoła rozwiązać ją do końca którykolwiek z najsumienniejszych choćby biografów. Jedno jest wszakże pewne: Joseph Conrad — Korzeniowski wzbogacił swą ceną i oryginalną twórczością nie tylko literaturę angielską, lecz całą literaturę światową. A skoro tak, to i Polska ma bezsporny udział w tych artystycznych zyskach i korzyściach.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

## TRAMWAJ PAROWY

LEON  
GOMOLICKI



1.

Miałem wtedy rodzinę w Łodzi, a sam przebywałem prawie stale w komiwojażach, jako agent podróży naszej firmy. A trzeba wiedzieć, że mój ojciec jako kupiec łódzkiowy trzymał jakiś czas spółkę ze starym Jakubem, a gdy jego syn, a mój z młodych lat druh i przyjaciel, dorósł i założył własną fabryczkę, to mówi do mnie: „Przyjdź do nas, bo potrzebuję zaufanych ludzi. Ofiaruję ci posadę jakby dyplomatyczną, do kontaktów w różnych krajach świata”.

I tak się też stało. On się bogacił jako fabrykant, ja natomiast podjąłem się komiwojażerki. Wysyłano mnie i do Warszawy, i na jarmarki niżniogorodzkie, i do Azji, aż do Chin włącznie, a kiedy wracałem z podróży, to Adaś przyjmował mnie w swym gabinecie biurowym, i ja go tytułowałem nie inaczej, jak „Adamie Jakubowiczu” i „panie prezesie”.

Tak to bywa: idą ludzie przez życie jakiś czas obok siebie, a od pewnego, nieokreślonego punktu drogi ich się rozchodzą w różne strony!

2.

Sprzedawaliśmy własnego wyrobu surowe metkale, bielone perkalki, madapolamy, dymki, satynki i inną tandetę, a ze Wschodu, via Tyflis — Batum — Odessa, przywoziliśmy prasowaną bawełnę najniższych gatunków.

Mam też liczne wspomnienia. Prości ludzie myśleli, że komiwojażer znaczy to samo, co wozający komik, toteż istotnie — miałem w tych podróżach wiele przygód. Gdybym je tu zechciał wszystkie opowiedzieć, to by pan dopiero nie uwierzył.

Słowem, jeździłem na wielbłądach przez pustynie, w Samarkandzie, o mało nie zginąłem marnie od ukąszenia jakiegoś cholernego owadu, który w hotelu zanocował pod moją poduszką. W mongolskiej tajdze polowałem na tygrysy, z pięć razy chorowałem na żółtą febrę, w Szanghaju ograbiła mnie banda międzynarodowych złodziei.

Różne rzeczy się widziało, ale najgorszy był rok, kiedy na niżniogorodzkie targach naszych perkalków nie wykupili, bo kupcy rosyjscy zarzucili hale jeszcze gorszą tandetą po umówionej cenie. Chodziłem wtedy zrezygnowany do nabiłowej farmy, która mieściła się w zabitych murach tamtejszego Kremla, piłem masłankę, przyglądając się, jak Oka wpływa do Wołgi, i tęskniłem do rodzimej, zadymionej Łodzi.

3.

Odpowiadałem własną kieszenią za transport, a tu jeszcze w Rosji był głodowy rok, wożono żyto dla ludności nadwołżańskiej, linie kolejowe były zapchane i nasz plombowany pociąg stał na zapasowych torach przez parę miesięcy. Wie pan, jak to jest w handlu: czas to pieniądz, a tu

taki długotrwały bezruch! Do tego jeszcze na tle głodu zaczęły wybuchać epidemie i potworzone dokoła kwarantanny, takie obozy, w których zdrowi ludzie — jeśli tylko tam trafili, a nie mieli na bakszysz — ginęli jak muchy.

No, powiem panu krótko, wyrwałem się z tej pułapki, jak żołnierz z piekła. Wróciłem szczęśliwie do domu i wprost do łazienki Bielizny, w której byłem, kazałem spalić, wyszorowałem się, ubrałem w świeżą garderobę, ucałowałem dzieci, ucałowałem żonę i wychodzę na mały spacer: przypomnieć sobie łódzkie ulice, znajomych — przyjaciół zobaczyć.

Pamiętam, jak dziś, że była to sobota i cały nasz światek schodził się na różne randewo do Eldorado na Zachodniej. Cieszyłem się naturalnie, nastrój jednak miałem — ze znanych już panu przyczyn — kwaśny, a każdy spotkany znajomy jeszcze dodał robiąc różne mało dowcipne aluzje.

Wchodzę do Eldorado i widzę od razu jakieś podniecenie ogólne i zbiegowisko dokoła nieznanego gościa. Poznali mnie i od razu do mnie:

— O, panie! Sam diabeł tu pana przysłał! Pan zna angielski?

Zaciekawilo mnie to, więc podchodzę... A trzeba powiedzieć, że istotnie, w swoim życiu tykałem wszystkiego po trochu, nawet z Turkami w porcie odeskim potrafiłem się dogadać. Zbliżam się i otworzył się przed moimi oczami następujący obrazek:

4.

Siedzi taki rudy dryblas, włosy mu jak u zmokłej kury sterczą na czubku głowy, twarz czerwona, spocona z wysiłku, ślepiami wyłupiastymi obraca, a między nimi nie nos, tylko jakby dziób kruczy. Ubranko na nim lichutkie, sam zaś z podenerwowaniem rękami macha i coś tam po swemu ćwirka i szwargoce. Płasi język, jednym słowem! Musiał to być chyba Irlandczyk, bo niewiele zrozumiałem z jego angielszczyzny.

Polapać się zresztą nie było trudno: kelner żądał od niego uregulowania rachunku, tamten coś mu tłumaczył, ale bez wielkiego skutku. No, przede wszystkim zapłaciłem ten rachunek, a potem odciągnąłem go na bok, do stolika w zacisznym kącie, i czuję pale-ale. Mój nowy znajomy ożywił się, pokazuje mi swe końskie zęby i klepie mnie poufale raz po kolanach, raz po plecach. Ja go też klepie i w ten sposób rozmawiamy się. Ja mu podlewam do kieliszka, a on podnosi do góry jeden palec, potem bije się w piersi i zaczyna coś takiego wyrabiać ustami, w rodzaju „puffi”.

(Dokończenie na str. 8)

odgłosy str. 7





(Dokończenie ze str. 7)

5

Nie wiem, do czego doszlibyśmy w tej rozmowie na migi, gdyby nie to, że przysiadł się do nas, ciekawy epizodu, znajomy redaktor. Posłuchał, posłuchał mego rudzielca i zaczyna tłumaczyć:

— Ten ciężki frajer — mówi mi — opowiada, że odczytał się od jakiejś tam angielskiej firmy, która sprowadziła go tu do montowania maszyn. Gada, że jest wynalazcą i odkrył jakiś tam wehikuł parowy... Nie, o tramwaj parowy mu chodzi. Mówi też, że nawet na jego propozycję nasz magistrat zaprosił go, a teraz się wycofał i gość został formalnie na lodzie. Poznaję — wtrąca redaktor — sztuczki ojców naszego miasta — ta sama sprawa, co z wodociągami czy latarniami elektrycznymi. Wciąż się mówi o tych latarniach, a na ulicach obywateli miasta w afrykańskich ciemnościach lamia sobie nogi i ryzykują spotkania z rabusiem...

Tak mówi ten redaktor, a tymczasem nasz Irlandczyk w afekcji wyrzucił na zewnątrz swoje kłeszenie, z których wysypały się jakieś śmieci, i przyłożywszy dłoń do policzka, pokłówał głową, że, znaczy się, nie ma gdzie udać się na odpoczynek. I znów zaszargotał, z czego redaktor zrozumiał tyle:

— Oświadcza się teraz nam z wieczną miłością. Też dziwaki! Powiada, że Polakom, bo to naród krzywdzony, a zwłaszcza robotnikom łódzkim, gotów jest podarować swój wynalazek, tylko musi mieć kilka tysięcy — bagatel — na wybudowanie modelu.

Tamten złapał znajomy dźwięk i uradowany, zabełkotał:

— Modli-modli, tramwaj, uoter... i coś w tym rodzaju.

6

— Wszystko to jest przesłiznięcie — wiadom na zakończenie — lecz wiąże tu jedną doraźną sprawę, mianowicie: co robić z facetem? Czy ma z głodu umrzeć, czy pójść z ręką na ulicę?

Redaktor tu zaczął rozglądać się za kimś, potem wstał, kiwnął ręką i odszedł, a ja zostałem sam na sam z gościem. Irlandczyk zdrzemnął się nad pustym kieliszkiem — musiał go alkohol zmorzyć, włożył do pustego żołądka, a ja tak patrzę na niego i przeprowadzam w myślach kalkulację: Co ostatecznie mam z nim robić? Przecież do domu nie zaprowadzę, żona by się nastraszyła do omłnienia! No, i gdzie go podziąć?

Tak rozmyślałem, aż nagle wpadła mi do głowy jedna idea, szczęśliwa czy nie — to już potem się okaże.

Przyznam się, że brakło mi trochę odwagi, by stanąć po moim powrocie przed oczami mego szefa, a dawnego przyjaciela. Wiedziałem, jak głęboko przeżywa każdą stratę najmniejszą, a tu przywożem mu, zamiast spodziewanych zysków,

# TRAMWAJ

niemal cały transport z powrotem i to w strzępach. Na straganach w targu nasze nędzne perkaliki wyplwowały, w wagonach zleżały się i stęchły, przy przeładunkach się podarły, no słowem, kilka ton towaru prawie do wyrzucenia do rynsztoku, a właściwie ściśle mówiąc nadaje się jedynie do ponownego przetrzepania w odpadkowej.

Myślę więc: a co jeśli przyprowadzę tego stracha na wróble z jego wynalazkiem? Może Adam Jakubowicz się skusi nie skusi, a jednak uzna to za dobry znak i przyjmie gościa do pracy — u nas wtedy cała apretura i farbiarnia szły o siłę pary.

I tak się też stało.

7

Z początku rzeczywiście miałem pietra. Jak weszliśmy z moim parawanem, czyli Irlandczykiem w charakterze parawanu przeze mnie użytym, do gabinetu prezesa i zobaczyłem na biurku pudełeczko z pigułkami Mollię, zrozumiałem, że jest źle. Bo prezes cierpiał na chroniczne zaparcie, a kiedy zażywał te pigułki, stawał się groźniejszy od mongolskich tygrysów.

Na mój widok cały poczerwieniał, wparł się obiema dłońmi w biurko i zaczął się powoli podnosić. Wiedziałem, co teraz nastąpi. A nastąpiłoby niezawodnie to, że stanąwszy na zreumatyzowanych nogach, miał, jak to już nieraz bywało, schwytać grubą łaskę, która zawsze leżała na biurku, po jego prawej stronie, no i obliży bezlitośnie moje również wcale już niemłode boki. A potem by mi dopiero kazał podpisywać weksle na konto spowodowanych niby przez moje winy strat.

Na szczęście jednak spostrzegł, że wchodzi nie sam, więc opadł z powrotem na miękki fotel i pyta mnie wzrokiem, co to za jeden.

— To — przedstawiam — proszę się zapoznać ze sławnym zagranicznym wynalazcą parokonek, czyli tramwaju o parowym napędzie.

Na to mój szef otworzył usta i zaczął się śmiać. Pokazywał palcem Irlandczyka i tak się śmieje, aż zaczął kasłać i machać na nas ręką. — To ten — krzyczy w przerwach — obdartus!?! To czupradło! Wynalazca?!

No i w ten sposób cała burza się rozlaowała.

8

Prezes oczywiście uśmieł się z wynalazku, ale Irlandczyka przyjął do pracy przy parowych maszynach.

Nie pamiętam jego nazwiska. Robotnicy nie mogli nigdy nauczyć się go wymawiać i przeważnie wynalazcę „Water”, bo często tego słowa używał. Water i Water, tak się utarło i sam ten dziwny frajer na to zawołanie się odzywał. Tak, że potem nawet w listach płacy używano przezwiska.

Poszedłem kiedyś specjalnie do maszynowni, aby spojrzeć, jak się sprawuje ten nabytek z mojej lekkiej ręki. Widzę: chodzi, opukuje swoje maszyny, głaska je, jak koniuszy konie. Koszuła na piersi rozpięta, gęba czarna od sadzy, wyszczerza polyskujące uzębienie. Słowem — zadowolony.

Z tym i wyjechałem w mój no-

wy „omiczny wojaż, tym razem do Petersburga i Moskwy, pertraktować z naszymi agentami.

No, tam oczywiście różne wielkomięskie pokusy. Trochę się zabawiłem, pozwoliłem sobie nawet na 1... Poszedłem na farę wtedy grana — o telefonistce, która podsłuchiwała telefoniczne rozmowy swego narzeczonego z baletnicą i co z tego wynikało.

A tu rzeczywiście telefon do biura agenta Landau, który był krewniakiem łódzkich bankowców — przyszła wiadomość o wielkim pożarze w firmie i o wybuchu kotłów parowych. Firma naprawdę o mało się nie skopciła, ale kocioł wybuchnął gdzie indziej. Tyle że ja o tym nie wiedziałem dokładnie i przez całą drogę powrotną byłem niespokojny. I wciąż mi z głowy nie wychodził ten mój Irlandczyk.

W ten sposób jakby mi kto wyrzucił i przepowiedział jego nieszczęśliwy los. Przecież zdarzył się taka czarna magia, że tylko ręce człowieka rozłoży i nie wie, skąd ta metafizyka się wzięła!

9

Przychodzę do biura i pierwsze słowa, którymi mnie prezes powitał, brzmiały:

— A to ładnego gagatka mi naręczyłeś!

— Co takiego? — pytam, a sam, jakby jakimś duchem świętym wiedziałem już o kogo chodzi.

— Mało, że tu codziennie łaził ze swoimi wariackimi projektami, mało, że kradł części maszyn, a jeszcze mi rewolucję w firmie rozrabiał. A u mnie wiesz jak: u mnie tak, że kradną — kradnij, jak umiesz, ale bez tych idei. Bo jeden facet i tak dużo nte wyniesie i straty dla mnie z tego nikt w porównaniu ze strajkiem. Ale ten mi robotników do buntu podżegał i Bastylię robił.

— Jak to Bastylię? Nie rozumiem — mówię.

Szef tłumaczy:

— A no tak... Chciał majster potracić robotników karę za to, że żuł podczas pracy, a ten Water się wturcił, no i tak się trącali aż do mordobicia doszło, i do grubszej awantury, i do strajku. A ten Marat, mimo że dwa słowa po polsku zaledwie umie, z całą tą hołotą się zwąchał i dawał im komendę gwizdkiem. I mało, że fabrykę u nieruchomości, a jeszcze całej pary mi nie wypuścił i w nocy od mrozu rury popękały. Teraz powiesz, co mi za satysfakcja, że łobuza na żandarmerię zgłosiłem? Co mi z tego, że zginię w więzieniu, gdy ja mogę przez pięć lat na robotnikach stracić przez niego wyrządzonych nie obdję!

Powiem prawdę, że strapiła mnie ta historia. Co tu gadać, czulem się współwinnym, że w ogóle go sprowadziłem. Ale kto mógł wiedzieć? Życie uczy: za przysługi wpada się w dług. Chcesz mieć kłopot, to ulituj się nad bliźnim. Zły byłem na siebie i zadreżylałem się z braku snu i apetytu, gdyby znów nie przypadek, który to moje strapienie jak ręką odjął.

Widzę, że pan rozumie, o co mi chodzi. No, słowem, przypadkowo spotkałem go i przypadkowo pojechałem.

Wracam któregoś dnia do domu i patrzę — środkiem jezdni prowadzi grupkę więźniów. Naokoło żołnierze z karabinami, bagnety błyszczą, kajdany brzęczą i tak wśród ogólnej obojętności na cudzą błąd posuwa się ta cała ponura procesja.

Mimo woli zatrzymałem się i raptem poznaję znajomą postać: idzie pośród nieszczęśliwców, o głowę od innych wyższy, przygarbiony rudzielec. Wprawdzie głowę ma ogoloną, a policzki są zarosnięte, tylko — ten dziób i cera, a szczególnie cała postawa: pełna pogardy i dumy w najnieodpowiedniejszej sytuacji! I od razu jakby mnie coś tknęło: poznałem go.

„Przecież — mówię do siebie — to Water! I niech mnie wielkił kopnie, jeśli się mylę!”

Tak mnie to odkrycie zafrapowało, że aby się upewnić, poszedłem za nim, oczywiście chodnikiem i spostrzegam, że tak samo jak ja, odprowadza aresztantów jakaś

prosta, mała kobitka ze sporym tobołkiem zawieszonym w czarnej chustce.

11

Niepozorna, z dziobami jak po ospie i z wyraźnie wydatnym bruchem — w ostatnich miesiącach. Więc proszę, aby mi pozwoliła pomóc sobie w dźwiganiu tego węzła, a sam dyskretnie się pytam:

— Odprowadza pani pewnie kogoś, kto ma przed sobą daleką podróż?

— A tak — przyznaje się zupełnie bez zęady. — Meza. Pognali to nieboractwo na zesłanie, na Sybir, a gdzieżby on tam się zawieruszył samusienki! Onóż po polsku — po rosyjsku pół słowa nie umie. Toż przyrodzony Anglik. Więc jadę z nim w te śnieżne sahyry za pozwoleniem wyższej władzy.

Na to ucieszyłem się i mówię: — Znam go. Poznałem tego dnia, kiedy wstąpił po raz pierwszy na naszą łódzką ziemię, i on mnie pierwszemu opowiedział o swoim marzeniu, o tym tramwaju parowym.

Tym powiedzeniem od razu zjednałem sobie kobiecinę. Wtedy zaczęła mi się szczególnie zwierzać. Jak to zamieszkał w szopie jej rodziców i pracując w naszej budzie urządził sobie w kącie tej szopy coś w rodzaju ukrytej pracowni mechanicznej. Znosił tam różne ma-

szynowe części w nadziei, że tak po trochu zbuduje model parowego tramwaju, żeby tym uszczęśliwić łódzką klasę robotniczą. Mówił, że cały swój sprzedany „patent” ofiaruje na darmowe przejazdy dla robotników. A ponieważ całkiem o siebie nie dbał, prawie nic nie jadł i zdarte ubranko już z niego zaczęło spadać „do ogolenia nieprzyzwyczajoności”, to użaliła się nad nim. Użaliła się aż tak daleko, że teraz, jako matka jego przyszedłego dziecka i wierna towarzysząca życiowej wędrówki, udaje się razem na „saharyjskie sahyry”.

12

Nieokreślona żadnym słowem krzywda mu się stała — tak mi powiedziała na zakończenie. — Krzywda za jego gołębie serce i za tę machinę, którą zbierał. Bo to nie dla bogaczy, tylko dla biedoty chciał zrobić. Od własnych ust sobie odjął, żeby jakieś tam głupie kółko czy muterkę kupić, a tu, jak przyszli stójkowi, od razu wrzeszczą: „Konfiskujemy te rzeczowe dowody złodziejstwa!” Tak powiedział. A to przecie uczony człowiek i tylko jak dziecko niemądry. Jeśli nawet co tam i wyniósł z fabryki, to nikt od tego nie zbiedniał. I poza tym nie dla siebie, lecz całkiem bezinteresownie, bo sam z głodu zmizerniał jak ten szkielet i bosy prawie w zimie chodził. Obwinął nogi szmatkami, wzmocnił sznurkiem i to było całe jego obuwie...

Zaczęła płakać i ocierać oczy brzegiem zawiązanej pod brodą chustki.

— No, a jak było z tym strajkiem? — pytam.

— Otóż za ten strejk niby go osądzono — odpowiedziała, a otworzywszy lewą dłoń i uderzając w nią końcem średniego palca tak mi zaakcentowała: — Tylko, że ja panu, jeśli pan się nazwał jego przyjaacielem, powiem, że strejk to tylko tak, zamydlenie oczu, a naprawdę to oni go za tę machinę... Bo zobaczy pan, że jego zniszczył i pogrzebił w tych głębokich śniegach, a tę jego machinę tu wykorzystują. Niech pan zapamięta to moje ostatnie słowo!

I tak to wyrecytowała, z taką mocą i taką miała chytrą i świadomą nienawiść w spojrzeniu, że uderzyło mnie — skąd w prostej kobiecie tyle świadomości. Czyżby to nasz Water miał w sobie niezwykle siły, że tak innych na same migi uświadamiał?..

13

W tym miejscu nasza rozmowa się urwała, bo zbliżyliśmy się do dworca, gdzie oddałem kobiecie wózek i straciłem ją z oczu w tłumie podróżnych. Więźniów też gdzieś poprowadzono na zapasowe tory, do specjalnych, zakratowanych konwojowych wagonów.

I tak, na zawsze zgubiłem z życia tego dziwaka i marzyciela. Wkrótce też zapomnieliśmy o nim zupełnie, gdyby nie to, że miedzy Łodzią a Zgierzem zaczął po pewnym czasie kursować tramwaj parowy. Wtedy przypomnieli mi się niechący przepowiednie tej kobity i nawet pożałowałem, że nie zdołałem się dowiedzieć bliżej, jak też wyglądał ten model zmontowany przez Watera, i czy to czasem nie z jego pomysłu skorzystała nieuczciwie ta prywatna firma komunikacyjna. Podobno dużo forsy na tym zarobili...

LEON GOMOLICKI



## WYTŁUMACZYŁ

Hiszpański dyktator Franco oświadczył w radiowym przemówieniu, że wprowadzona ostatnio podwyżka cen chleba „jest koniecznością gospodarczą i uderza w jednakowym stopniu po kleszeni mnie, jak i każdego obywatela”.

## DWULICOWA

Pani Juanita Easterlin, która była przed dwoma laty wiceburmistrzem miasta Highy Springs (Flory-

da), w ubiegłym roku starała się ponownie o ten sam urząd. Jako jeden z potężniejszych argumentów w kampanii wyborczej pani Easterlin wysuwała zarzut, skierowany przeciw jej konkurentom, iż ustawy antyalkoholowe w stanie Floryda nie są realizowane z należytą energią. Ostatnio Juanita Easterlin została aresztowana. Podstawa: była kierowniczką grupy nielegalnych gozelników.

## NOWY PATRON

Jak donoszą z Rzymu, Watykan proklamował świętego Benedykta, twórcę hasła „Módl się i pracuj”, „patronem Europy i zachodniego świata”.

## MECZ

W Dzakarcie odbył się niedawno mecz piłkarski, rozegrany pomiędzy radą ministrów Indonezji a akredytowanym w stolicy korpusem dyplomatycznym. Wynik 0:0.



## INTERPRETACJA

Zachodnoniemieckie ministerstwo obrony ogłosiło instrukcje dla wojsk pancernych i artylerii, w której czytamy, że „działa artyleryjskie w zrozumieniu obowiązujących przepisów, kiedy przejeżdżają ulicami miast, są maszynami drogowymi i przepisy ruchu obowiązuje maszyn drogowych odnoszą się w całej rozciągłości do pojazdów artyleryjskich”.

## KONIEC WOJNY

Miniaturowa republika Andorra, położona w Pirenejach, ogłosiła w specjalnej deklaracji zakończenie stanu wojny z Niemcami, Andorra

wypowiedziała Niemcom wojnę w roku 1914, pominęła jednak przy podpisaniu traktatu wersalskiego — zdecydowała się wreszcie dopiero teraz na zejście z wojennej ścieżki.

## OJCZE NASZ

U wejścia do francuskiego klasztoru Patremy znajduje się tablica ostrzegawcza z następującym napisem: „Wstęp do ogrodu klasztorowego wzbroniony. Za naruszających ten zakaz odprawiamy „Ojciec nasz”. Opat”.

## OWŁOSIENI URZĘDNIICY

W nowym budżecie miasta Karlsruhe przewidziano dla dziesięciu „nowych pracow-



ników” gażę roczną w sumie 500 marek łącznie. Gdy dziennikarze zapytali się, jacy to pracownicy są tak tani, otrzymali odpowiedź, iż chodzi tu o dziesięć kotów, które w służbie zarządcy miejskiego miały oczyszczać z myszy i szczurów dzielnicę portową.

str. 8 **odgłosu**



## aspazja

ILUSTR. J.BIS-GRATKOWSKI

— 73 —



## STRESZCZENIE

Niespożyta w swej dociekliwości ludzkość wysłała na Marsa osiemnaście wypraw, z których żadna nie powróciła, na Marsie bowiem żyje jakaś straszliwa kobieta, imieniem Aspazja, posiadająca niszczycielską broń. Po trzystu latach od chwili wystania pierwszej rakiety ruszyła dziewiętnasta rakietą międzyplanetarna. W pewnej chwili na ekranach telewizyjnych rakiety ukazała się piękna kobieta, która dzięki jakimś hipnotycznym zabiegom skłoniła uczestników wyprawy do odwiedzenia Marsa i oddania się we władzę Aspazji. Rakietą zawisła nad Marsem, a większość uczestników wyprawy w pojazdach prowadzonych przez pszczoły udała się na zwiedzanie nieznajomego globu. Któregoś dnia jednemu z uczestników wyprawy udało się uciec spod władzy Aspazji i wrócić na raketę. Opowiada on o swoich przeżyciach.

Weszliśmy do naszego Dydaskolionu. W starożytności w Grecji w gmachu takim odbywały się posiedzenia członków aeropagu.

Latona wyjaśniła nam, że jesteśmy traktowani jak bohaterowie i pszczoły będą nam oddawać cześć, jaką się dla członków aeropagu.

Przekroczyliśmy próg i weszliśmy do typowo greckiego wnętrza. Po obzerzaniu westibulu ciągnęły się sale za salami. Każda z nich była w innym kolorze. Były więc złociste i srebrzyste, żółtawe i błękitnawe, zielone i niebieskie, czerwone i morelowe, pasowe i seledynowe. Oświetlenie sal było dopasowane do ich koloru. Światło sączyło się z sufitów, z niewidocznego źródła.

Zaraz w pierwszej sali o seledynowym kolorze ujrzelśmy sześć złotych posągów stojących pod ścianami. Przeszliśmy obok nich w milczeniu. Odczytaliśmy tabliczki z greckimi napisami: „Emanuel Apalachi. Geograf. II wyprawa”, „Maksymilian Hardager. Lekarz. III wyprawa”, „Sebastian Klon. Biolog. XII wyprawa”, „Józef Sils. Fizyk. XII wyprawa”, „Zygmunt Zwolle. Chemik. XV wyprawa”.

Ci wspaniali ludzie byli niegdyś sławnymi uczonymi. Obecnie to tylko statuy z laurowymi wieńcami z czystego złota na skroniach. Stali na swoich cokółkach — nieruchomi, spokojni, nadzy, piękni, ze smutnym uśmiechem na ustach.

Spojrzałem na Latonę. Coś mełta w ustach i uśmiechała się obojętnie.

— Świetny sposób na zdobycie nieśmiertelności! — zaśmiał się nerwowo profesor Townsend.

— Och, na to każdy sposób jest dobry — odezwała się Latona. — Nawet najgorszy. Czyż jest coś mniej trwałego, niż stare teksty w książkach. Cóż to jest w ogóle papier? A przecież dzięki niemu dowiedzieliśmy się o Ramzesach i Kleopatrze, i o Marco Polo czy Koperniku. Najważniejsze może jest to — dodała z cynicznym skręceniem — że martwe lwy nie ryczą.

— Tak — potwierdziłem — martwe nie ryczą, ale żywe ryczą. Tam na Ziemi dużo pozostało lwów.

— Ziemia... Ziemia... — uśmiechnęła się niepewnie. — Co to właściwie jest? Kto znajduje się we władzy królowej Aspazji, ten o takich rzeczach nie myśli. Żaden ryk tu nie dochodzi.

— Jesteśmy członkami wyprawy — zagrmiał admirał. — Nasz pocisk kosmiczny unosi się jeszcze nad Marsem... i — jak sądzę — możemy myśleć, o czym nam się podoba.

— Cha, cha, cha! — zaśmiała się piskliwie Latona. — Po co ten patos? Jesteście przede wszystkim trutniami! Ot co...

Admirał poczuł się dotknięty.

— Co to ma znaczyć? — huknął. — O jakich trutniach mowa?

Latona kiwała głową i powtarzała:

— Sami zobaczcie... sami zobaczcie... nie za wcześnie.

— Czy mogę pani profesor zadać kilka pytań? — zapytałem.

— Jak się pani z nimi porozumiewa?

— O, to jest zupełnie proste — znów zaśmiała się, przy czym drgnęła jej dolna szczęka. — Jeśli są blisko, to za pomocą ultradźwięków, a jeśli daleko, to za pośrednictwem fal ultrakrótkich.

Wyjęła z kieszeni kombinezonu nieduży, czarny

— 74 —



aparacik, podobny do naszych aparatów dla głuchych. Coś w rodzaju małej słuchawki włożyła sobie w ucho.

— Teraz słyszę ich głosy — powiedziała — a gdy zechcę im coś powiedzieć, naciskam w określony sposób membranę w pudełeczku. Nie wiem, czy pamiętacie konstrukcję wibrafonu — elektrycznego instrumentu muzycznego. To jest coś w tym rodzaju. W ogóle te wszystkie pszczoły to są geniusze elektryczności, a Mars jest państwem stu procentowo elektrycznym.

— Jeśli chcę — ciągnęła dalej — to mogę porozumieć się z każdą pszczołą oddzielnie lub z jakimś zespołem, na przykład, sprzątaczkę lub kreślarkę. Jeśli zajdzie potrzeba wydania jakiegoś ogólnego zarządzenia — to mogę się od razu skontaktować ze wszystkimi pszczołami, jakie tylko znajdują się na tej planecie. Pszczoły natomiast porozumiewają się z sobą i z nami za pomocą swoich czulków-anten, jakie mają nad głową. Ich język jest bardzo bogaty, oddaje wszystkie odcienie myśli i jest również ładny. Zawsze z przyjemnością słucham ich mowy.

Poprosiłem, aby pozwoliła mi posłuchać. Włożyłem słuchawkę do ucha i posłyszałem dużo jakichś szmerów, pisków i szelestów. Niektóre z tych dźwięków były istotnie melodyjne, ale zrozumieć w tym chaosie cokolwiek było niemożliwe.

Przeszliśmy znów przez szereg wspaniałych sal. Latona oświadczyła, że każdy z nas otrzyma taką jedną salę na mieszkanie. Sal tych w Dydaskolionie jest podobno ponad sto i trzeba uważać, aby wśród nich nie zabłądzić.

— Teraz zawołam pszczoły — powiedziała Latona. Natychmiast weszło dziesięć pszczoł.

— Proszę się rozgościć — powiedziała Latona uprzejmie. — Wykapić się w basenie, do którego pszczoły was zaprowadzą. Potem musicie się przebrać. W sali kąpielowej, obok basenu, znajdziecie swoje szaty i sandały.

— Niestety — mówiła dalej — nie mamy na Marsie innych potraw prócz różnych odmian miodu i grzybów. Wino jest również z miodu. Jest to bardzo stare wino, specjalnie preparowane. Na pewno będzie wam smakować. Prócz tego są pastylki syntetyczne. Chyba nikt nie będzie głodny. Powróć za godzinę.

— Przepraszam — odezwał się milczący dotąd profesor Townsend. — Czy mogę zapytać, kiedy nas przyjmie królowa Aspazja?

— Tego nie wiem — odrzekła — ale sądzę, że niebawem. Tak wielkiemu uczonemu nie każe chyba długo czekać.

— A skąd królowa wie, że jestem wielkim uczonym? — uśmiechnął się Townsend.

Latona spoglądała na niego z wyraźnym szacunkiem. W jej starczych, wyblakłych oczach jaśniała życzliwość.

— Królowa Aspazja wie wszystko — odrzekła.

— Dobrze, ale skąd? — upierał się Townsend.

— Aspazja jest królową elektryczności — odparła poważnie Latona — a pan jest chyba królem elektryczności. Trudno — zarechotała złośliwie — taka już jest konsystencja elektryczności.

Wykręciwszy się w ten sposób od odpowiedzi — wyszła.

Zasiedliśmy do stołu nie tyle głodni co ciekawi. Mieliśmy zapas własnych doskonałych pastylek syntetycznych. Potrawy z grzybów marsyjnych były doskonałe — przypominały nasze najlepsze sztuczne potrawy mięsne. Dania z miodu również bardzo smakowały. Był to cały asortyment jakichś ciastek, przekładanów, pierników, mazurków. Wypiliśmy po kilka kieliszków wina. Rzeczywiście, musiało to być bardzo stare wino, miało bowiem niezrównany smak i aromat. Po chwili okazało się, że i działanie jego było niezwykle. Uderzyło nam do głowy. Poculiśmy się szczęśliwi i radośni. Mieliśmy przecież tak wiele trosk — ale wszystkie gdzieś odpłynęły. Powstał nam złączeni jedną myślą i wzniesiliśmy toast na cześć królowej Aspazji. W tym momencie jedna ze ścian zaczęła się jarzyć tęczowym blaskiem jak perła i uka-

— 75 —



zała się w niej w znacznym powiększeniu postać królowej w koronie z płomienistym berłem, w morelowej, długiej sukni, spletej na piersiach wielką kłamrą brylantową.

„Aspazja wie wszystko. Aspazja jest wszędzie” — pomyślałem sobie. Serce me wprost przestało bić z tęsknoty. Z całej duszy wypilem na jej cześć. Rozpięta mnie poczuła bezgranicznego wprost szczęścia.

— Chodźmy się kąpać — ktoś zaproponował wstając od stołu.

Zaraz się wysunęła jedna z pszczoł i zaprowadziła nas do pięknej, niebieskawej sali, wykładanej błękitnymi płytami.

Pośrodku znajdował się duży basen, a w nim woda o niebieskawym odcieniu. Wokół unosił się przyjemny, nieco egzotyczny zapach — jakby kwitnącego tytoniu.

— No, to wreszcie mamy pyszną wodę! — zawołał admirał zacierając ręce.

Woda, istotnie wyglądała bardzo zachęcająco.

Z dziesięciu naszych pokojówek tylko dwie krzątały się po tej sali. Jedna niosła całe naręczce ręczników i prześcieradeł, a druga manipulowała przy kranach. Po chwili ta „od ręczników” wyszła i pozostała tylko jedna.

— Admirale — zapytał Safronow — czy pszczoły się kąpią?

Admirał wzruszył potężnymi ramionami.

— Nie mam pojęcia — odrzekł — o tym mógłby coś powiedzieć nasz Wanke, ale nie ma go tutaj. Na takich sprawach chyba najlepiej znają się pszczołarze.

— A czy taka pszczoła to samiec czy samica?

— Pojęcia nie mam — odpowiedział admirał. — Do tego też przydałby się Wanke, a może i Freyd coś o tym będzie wiedział. Jest bądź co bądź biologiem.

— To są chyba samice — odrzekłem — lecz nie jestem zupełnie pewien.

Safronow był już rozebrany do pasa, lecz słysząc moje słowa zatrzymał się i uważnie spojrzał na pszczołkę stojącą przy kranach.

— Koleżanko — powiedział poważnie — proszę wyjść, bo ja się wstydzę.

Pszczoła oczywiście, nie zwróciła na jego słowa najmniejszej uwagi, chociaż poparł je nowym gestem, wskazując drzwi.

Podszedł do pszczoły, wziął ją pod łapę i odwrócił w kierunku wyjścia.

— Proszę wyjść — rzekł groźnie — pókim dobry. Chyba koleżanko nie życzy sobie, abym ją po prostu wyrzucił za drzwi?

Potem zwrócił się do nas:

— Wiercie — powiedział półgłosem — mógłbym przysiąc, że ona ma łapę z jakiegoś metalu. Może to proteza czy co?

Pochnął ją lekko, a rozgniewana pszczoła odwróciła się i wydała dźwięk podobny do syku.

— Co? — ryknął Safronow. — Co? To ty będziesz na mnie syczeć? Ty, marny owad, na mnie, na człowieka?

Schwycił ją za skrzydła i podniósł do góry. Wszystko to stało się bardzo szybko. Pszczoła wczepiła się w niego, a on w nią — i oboje wpadli do wody. Rozległ się plusk, wrzask Safronowa — i zniknęli pod wodą. Po chwili Mikołaj wypłynął, ale pszczoły nie było. Wystraszeni rzuciliśmy się wszyscy naraz do wody. Po kilku minutach poszukiwań wydobyliśmy owada. Okazało się, że jest bardzo ciężki. Parę razy wymykał nam się z rąk. Wreszcie wyciągnęliśmy go na kamienną posadzkę z szarych i niebieskich płytek. Niestety, nie dawał żadnych oznak życia. Utopił się.

— A niech to wszyscy diabli! — krzyknął Safronow, doskoczył do zwłok, położył pszczołę na grzbiecie i zaczął stosować sztuczne oddychanie. Po kilku takich ruchach pszczoła nie tylko nie odżyła, ale na dodatek odpadła jej łapa.

(D. o n.)



# DALEKOWSCHODNIA BECZKA PROCHU

„Musimy wszyscy uznać zasadę, że bez względu na wielkość i potęgę własnego kraju, trzeba wyrzec się chęci działania w każdej sprawie wedle własnej tylko woli”.

HARRY TRUMAN

(Z przemówienia wygłoszonego 26 czerwca 1945 r. w San Francisco na zakończenie I inauguracyjnej Sesji Narodów Zjednoczonych).

„Taiwan to przedpiekle, w którym rozbitkowie z chińskiej katastrofy — generalowie bez żołnierzy, ministrowie bez kraju, poeci bez publiczności — wyczekują wybawienia. Ponieważ marzenia ich są tak odległe jak Sąd Ostateczny emigranci przypominają raczej sektę religijną niż walczący oddział. Jak adwentyści, którzy każdego dnia oczekują końca świata i swojego wybawienia, tak ludzie Czang Kai-szeka mówią o rychłym powrocie na kontynent”.

(Relacja z hamburskiego tygodnika „Der Spiegel”).

W 1949 i 1950 roku przybyli na Tajwan rozbitkowie. Wyspę opanowały męty dawnego ustroju społecznego, wypędzone z kontynentu przez zwycięską rewolucję chińską. Minęło 8 lat. W ciągu tych 8 lat Chińska Republika Ludowa stała się najpotężniejszym, pod każdym względem, mocarstwem Azji. W ciągu tych 8 lat na Tajwanie, na Wyspach Rybackich, na przybrzeżnych wyspach Quemoy i Matsu rządzi w dalszym ciągu Czang Kai-szek.

Jak do tego doszło, że rewolucja chińska, ciesząca się poparciem ogromnej większości narodu chińskiego, nie zdołała przeskończy Cieśniny Taiwańskiej? Komu lub czemu zawdzięcza Czang Kai-szek władzę nad Tajwanem, ba, miejsce w ONZ, a nawet przysługujące wielkim mocarstwom miejsce w Radzie Bezpieczeństwa? Odpowiedź na te pytania może być zupełnie jednoznaczna. Wielkie mocarstwo — Stany Zjednoczone w sposób arbitralny wnieśli się w sprawę wewnętrzne narodu, zamieszkującego o tysiące kilometrów od USA. Stany Zjednoczone posłały na Tajwan wojska i 10 tys. doradców wojskowych. Stany Zjednoczone wzięły Czang Kai-szeka na żołądek, pokrywając ze swoich środków 3/4 jego budżetu. Cały autorytet Stanów Zjednoczonych zaangażowany został w to, by utrzymać fikcję, by postawić świat przed faktem dokonany. VII flota USA sprowadzona została do Cieśniny Taiwańskiej. 7 wielkich lotniskowców z ciężkimi bombowcami i rakietami zdalnie kierowanymi na pokładzie krąży nieustannie wokół Tajwanu i u brzegów Chin. 60 tys. żołnierzy amerykańskich gotowych jest w każdej chwili na rozkaz prezydenta Eisenhowera przytknąć lont do dalekowschodniej beczki prochu. Jest to typowa polityka faktów dokonanych, stawianie w polityce wyłącznie na zbrojną, militarną kartę. Bo czy trzeba dowodzić, że bez Amerykanów, bez VII floty Czang Kai-szek nawet przez tydzień nie utrzymałby Tajwanu; że do wypędzenia go stamtąd nie potrzeba byłoby Chińskiej Armii Ludowej, że dalałyby sobie z nim radę 8,5-milionowa rdzenna ludność Tajwanu, która już w 1947 r. zdobyła się na wielki zryw powstania, krwawo stłumiony wówczas przez potężną jeszcze armię Czang Kai-szeka?

Stany Zjednoczone postawiły na Czang Kai-szeka, a jak pisze sama prasa amerykańska, jedynym jego marzeniem jest wplątać Stany Zjednoczone w wojnę z Chinami. W tym tkwi przecież jedyna nadzieja powrotu na kontynent.

Czang Kai-szek rozumie, że jest on całkowicie zależny od Amerykanów. Ale rozumie również, że Amerykanie są zależni od niego, że w jego istnieniu został zaangażowany cały prestiż amerykańskiej polityki, że Amerykanie

nie mogą przestać korzystać z jego usług bez całkowitej zmiany swojej dotychczasowej polityki i bez poważnego naruszenia na szwank swego prestiżu. I Czang Kai-szek rozpoczął grę, którą jeden z zachodnich publicystów nazwał „kierowaniem psa przez ogon”.

W pakcie o wzajemnej obronie, zawartym między rządem USA a Czang Kai-szkiem w 1954 r. Stany Zjednoczone zobowiązały się do obrony Tajwanu i Wysp Rybackich. W międzyczasie Czang Kai-szek rozmieścił 1/3 armii, ok. 100 tys. żołnierzy na wyspach przybrzeżnych, nie objętych postanowieniami paktu. Czang Kai-szek posunął się dalej: jego wojska rozpoczęły na wyspach przybrzeżnych, nie objętych postanowieniami paktu, artylerijski. Z tych właśnie wysp startują samoloty do ciągłych przelotów nad terytorium ChRL. Te właśnie wyspy służą do pirackich ataków na statki pływające pod różnymi banderami, przewożące towary do chińskich portów. Seria prowokacji szczególnie nasiliła się w sierpniu br.

Tylko ślepiec polityczny mógł przypuszczać, że Chiny Ludowe uznają status quo w rejonie Tajwanu i że milczeniem przyjmą ciągłe prowokacje. Chiny Ludowe odpowiedziały w końcu. 27 sierpnia br. w ciągu 7 minut spadło na przybrzeżną wyspę Quemoy 50 tys. pocisków. Odpowiedź słowna Chin Ludowych wyrażona została w znanej odezwie rządu chińskiego do nacjonalistycznych garnizonów na Quemoy i Matsu. W dokumencie tym, wzywającym garnizony czangkaiszekowskie do wybrania między życiem a śmiercią, między beznadziejną obroną posterunków a poddaniem się rozkazom rządu chińskiego, stwierdza się, że chińska armia ludowa w najbliższym czasie przystąpi do wyzwolenia wysp przybrzeżnych, a później Tajwanu.

Stany Zjednoczone zareagowały szybko mętnym oświadczeniem

prezydenta Eisenhowera, który powiedział, że wprowadzić wyspy przybrzeżne nie są objęte zobowiązaniami obronnymi USA, ale od chwili podpisania paktu wzrosło znaczenie tych wysp i dlatego prezydent zatrzymuje sobie prawo podjęcia decyzji w sprawie ich obrony przez amerykańskie siły zbrojne. Od tego oświadczenia minęły 2 tygodnie. Świat trwa w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków. W międzyczasie rząd chiński postanowił rozszerzyć granice wód terytorialnych do 12 mil, włączając w to wody okalające wszystkie zajęte przez czangkaiszekowców wyspy z Tajwanem łącznie. Tymczasem VII flota USA nie bacząc na ostrzeżenie rządu chińskiego rozpoczęła manewry w bezpośrednim pobliżu kontynentu chińskiego. Prezydent Eisenhower wydał drugie oświadczenie, co najmniej tak mętne jak pierwsze. Stwierdził on, że „nie zawaha się zaangażować amerykańskich sił zbrojnych do obrony wysp przybrzeżnych”, jeśli „uzna to za niezbędne dla bezpieczeństwa Formozy” (Tajwanu). Dulles, składający to oświadczenie w imieniu Eisenhowera podkreślił, że „dotychczas Eisenhower nie doszedł do takiego wniosku”. Ale dalej oświadczenie głosi, że Eisenhower „nie zawaha się wysnuć wniosku, że Tajwan jest zagrożony, jeśli zaatakowana zostanie Quemoy, Matsu czy jakaś inna wyspa przybrzeżna”. Tak więc świat w dalszym ciągu trwa w oczekiwaniu, czy Stany Zjednoczone rozpętają wojnę.

Tym razem wszakże, podobnie zresztą jak w Libanie, Amerykanie działają muszą bez żadnej zastony dymnej, w postaci pełno-

mocnictwa ONZ i bez poparcia sojuszników. Jedynie Filipiny i Li Syn Man gotowi są do poparcia akcji zbrojnej USA. Natomiast ani Wielka Brytania, ani Francja, ani Kanada, ani żaden europejski sojusznik Stanów Zjednoczonych, nie tylko że nie wyraziły swego poparcia dla akcji amerykańskiej, ale otwarcie się jej sprzeciwiają.

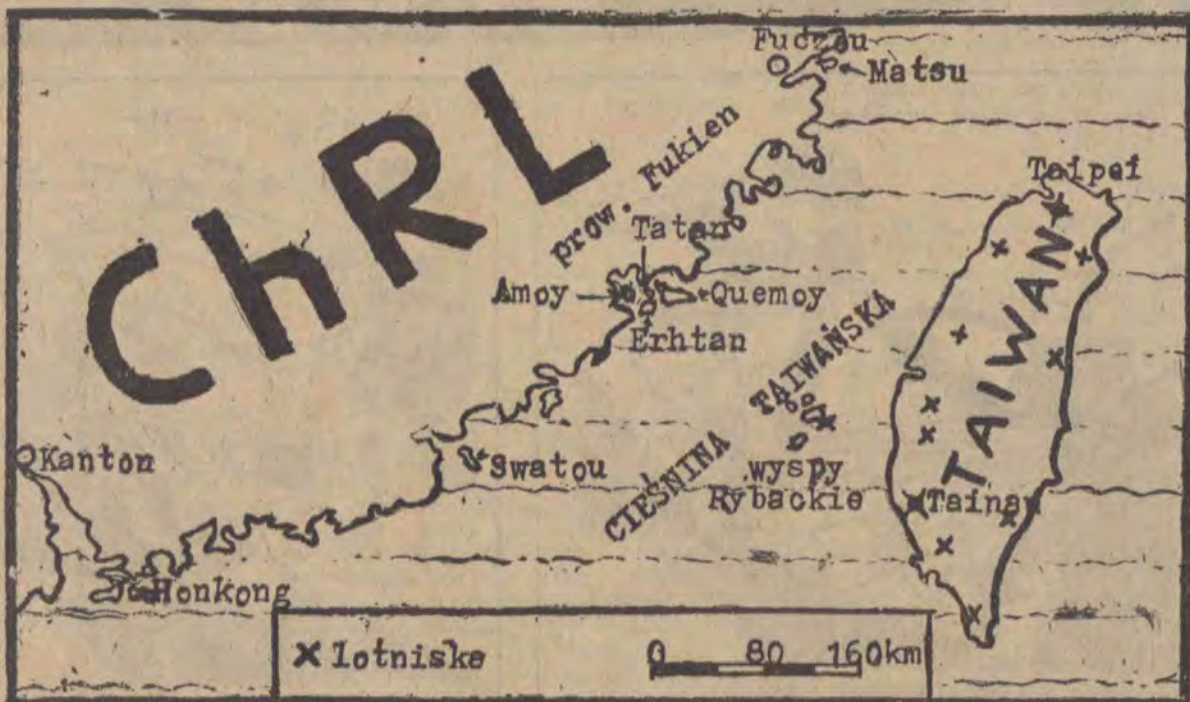
Kanadyjski minister spraw zagranicznych oświadczył wręcz, że Kanada nie ma żadnych zobowiązań wobec USA, jeżeli te rozpoczną akcję w Cieśninie Taiwańskiej. Rzecznik rządu brytyjskiego powołał się na oświadczenie Edena, ówczesnego ministra spraw zagranicznych z 1955 roku. Oświadczenie to głosi, że W. Brytania uważa, iż świat zachodni nie powinien się angażować w obronę wysp przybrzeżnych.

Wszystkie niemal narody Azji i Afryki negują prawo Stanów Zjednoczonych do jakiegokolwiek bądź mieszania się w wewnętrzne sprawy Chin. Rząd Stanów Zjednoczonych nie może sobie nie zdawać sprawy z tego, że w wypadku zaangażowania sił zbrojnych USA w walkę o obronę wysp przybrzeżnych będzie on uznany za agresora przez większość narodów świata. Rząd Stanów Zjednoczonych nie może również nie zdawać sobie sprawy z konsekwencji swoich czynów. Ostrzeżenia radzieckie są zupełnie jednoznaczne. Związek Radziecki w wypadku zaatakowania Chin Ludowych całą potęgą wspomaga swego sojusznika.

16 września br. sprawa reprezentacji Chin Ludowych w ONZ stanie na wniosek Indii na forum

Zgromadzenia Ogólnego. Być może kanonada znad Cieśniny Taiwańskiej przekona Sesję o tym, że bez Chin ONZ nie może spełniać roli stróża i gwaranta pokoju, że przemykanie oczu na arbitralne kroki Stanów Zjednoczonych podcina autorytet ONZ tak potrzebny ludzkości, że wreszcie o ile kanonada znad Cieśniny Taiwańskiej rozszerzy się, to odpowiedzialność za to spadnie nie tylko na agresora, ale również i na organizację, która nie umiała w porę wytrącić podpalaczom broni z ręki, mimo że została do tego powołana przez wszystkie narody świata.

JACEK LEBEN



Redakcja

tygodnika „Odgłosy”

Łódź,

ul. Piotrkowska nr 96

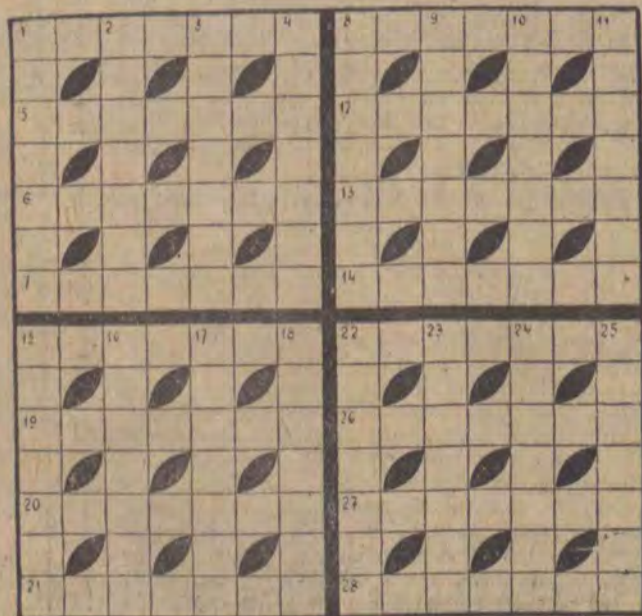
Nawiązując do artykułu pod tytułem „O cyganieniu Cyganów”, zamieszczanego w tygodniku „Odgłosy” nr 15 z dnia 8.VI.1958 r. uprzejmie zawiadamiam:

Opisane w cytowanym wyżej artykule momenty zostały przeanalizowane przez kierownictwo KW MO i K-dy Miejskiej MO we Wrocławiu, co pozwoliło na uniknięcie w przyszłości podobnych nieporozumień w ścisaniu przestępstwa wśród Cyganów.

Naczelnik Wydz. Ogólnego KW MO Wrocław  
mjr. B. BOBKA

KORESPONDENCJA

## Wiązanka krzyżówek



### ZNACZENIE WYRAZÓW

Pozłoto — 1) Powieść w naszym piśmie lub imię Greczynki, żony Peryklesa, odznaczającej się wybitnymi zaletami umysłowymi, 5) Łańcuszek do zegarka, 6) Konieczna do wywoływania zdjęć, 7) Owoce południowe, 8) Badacz języka i kultury chińskiej, 12) Kraj nadbałtycki, 13) Podwyższona część podłogi, przeznaczona dla występów artystów, muzyków itp., 14) Satelita, 15) Myśliciel, 19) Uniwersytet paryski, 20) Lekkoatletyka, 21) Wodospad w Ameryce Północnej, 22) Badacz języków, kultur i literatur starożytnych, 26) Zapisujący testament, 27) Ciecz oleista otrzymywana z benzolu, używana do wyrobu farb, 28) Deseczka drewniana poruszająca młotek uderzający w struny.

Pionowo — 1) Słuchowisko, 2) Pokrywa ruchoma na oku, 3) Imię żeńskie, 4) Przyrzędy, maszyny, urządzenia, 8) Szmer, 9) Zapisek, uwaga, 10) Stary powóz, 11) Pore-

czycieł, 15) Substancja rogową na podniebieniu wielorybów, 16) Służby do obserwacji przedmiotów oddalonych, 17) Bardzo ciepła fizycznie lub duchowo, 18) Dowcip, wierszowana anegdota, 22) Majątek, 23) Miasto między Wrocławiem i Zgorzelcem, 24) Sąsiedzi Polaków, 25) Wyprawa skóry zwierzęce.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 12

Korab, omega, rezon, agora, banal, rabat, Agata, balet, Atena, Tatar, łomot, opera, metal, Orawa, talar, Donat, obora, notes, arena, tasak, rubin, ugoda, Bolek, ideał, Nakło.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Halina Pampuch — Gliwice, ul. Inwalidów 9.  
2. Tadeusz Mrówczyński — Kolszki, ul. B. Głowackiego 17.





Najostrzejsze ołówki świata

**MAURICE  
HENRY**

albo

**komp-  
leks  
roz-  
bitka**

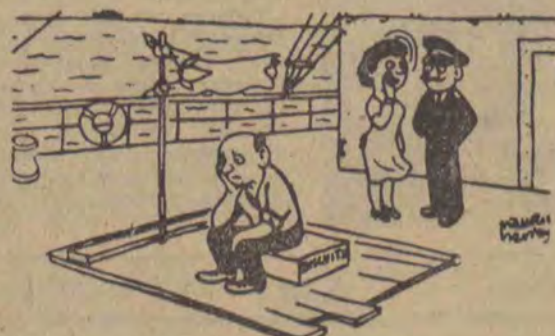
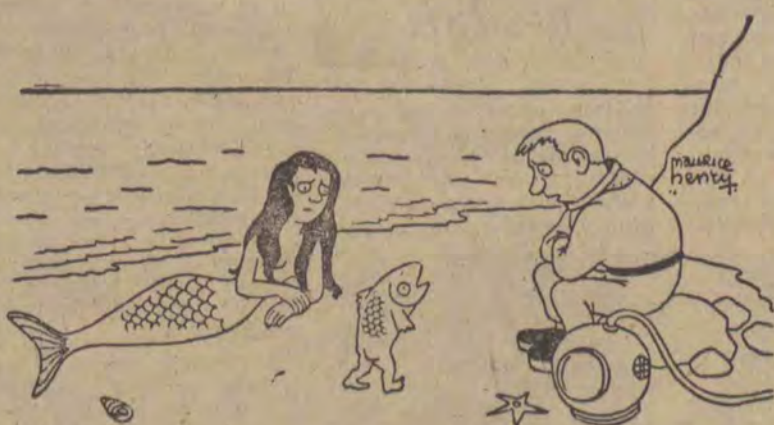
Wyspa bezludna: żelazny temat pisarzy i dramaturgów, którzy izolują swych bohaterów na małym skrawku stałego lądu — dla łatwiejszej ich obserwacji. Wyspa bezludna: żelazny temat dla humorystów, którzy w smutnej bądź co bądź sytuacji odnajdują ogromne pokłady humoru. Można się przecież pośmiać z nie-dobrych partnerów, z przywiązania do obyczajów, które w tych warunkach są przecież anachronizmem, z desperacji rozbitków i ich osamotnienia (brak kobiet!).

Niewyczerpany temat! Trudno chyba na całym świecie znaleźć humorystę, który nie poświęciłby wyspie bezludnej przynajmniej jednego rysunku. A są przecież i tacy, którzy narysowali już po kilkadziesiąt i więcej żartów o rozbitkach.

Do takich należy 40-letni Francuz, Maurice Henry, uważany w tej dziedzinie za rekordzistę. Do roku 1955, a więc w ciągu 12 lat publikowania swych dowcipów rysunkowych, Henry stworzył ponad pięć setek żartów na ten temat. Ile do tego doszło w ciągu ostatnich trzech lat, to znaczy od czasu wydrukowania jego zwierzeń w tygodniku „Le Paris” — brak nam danych...

Trzeba jeszcze wyraźnie podkreślić: owe pięć setek dotyczy wyłącznie wyspy bezludnej — bo poza tym Francuz chętnie sięga do pokrewnego tematu: moza, okrętów i marynarzy. Henry urodził się w Marsylii, nie więc dziwnego!

J. W.



— Mój mąż ma kompleks rozbitka.

Za tydzień:

**SAUL  
STEINBERG!!!**

Redaguje Zespół Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”  
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79  
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł  
Redakcja nie zwraca rękopisów nie zwraca  
Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK  
„Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7-6-879  
z oznaczeniem na „Ogłoszy”  
Druk. RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Z. 2613. IX. 58. M-4.

Grzeczne psy—mile widziane

**LUNAPARK**

Nr 6. 14. IX. 58 Rok I

Za teksty pomieszczone w niniejszej rubryce redakcja odpowiada, ale nie płaci.



**SPROSTOWANIE**

Do aktualnego spisu cen pojazdów mechanicznych (patrz poprzedni numer Lunaparku z ubiegłego tygodnia) przeniknął błąd. Oto nowoczesny samochód osobowy produkcji radzieckiej M-21-Wolga — kosztuje nie 125 tys. zł, a 135 tys. Dziękujemy Czytelnikowi, panu J. K. za podanie sprostowania, które publikujemy ze względów protokołarnych. Redakcji Lunaparku i tak jest wszystko jedno.

**Ile kosztuje rasowa stajnia samochodowo-motocyklowa?**

Oto pytanie, na które nie odpowiadają fachowe tygodniki poświęcone amatorstwu motorowemu, zbieractwu i kolekcjonerstwu pojazdów, sportowi i turystyce. Redakcja Lunaparku (kolegium) zadała sobie trud przeliczenia, postępując się listą cen pomieszczoną tydzień temu i maszynką elektryczną marki Simplex. A więc doborowa stajnia możliwa do nabycia w kraju, od mopedu „Osa” po „Simcę”, „Spartaka”, „Wolgę” i „Warszawę” — kosztuje w sumie 1.718.290 zł. Czy „Motozbyt” przewidział zniżki przy zakupie hurtowym?

**Z cyklu**

**EROTYZM W PROZIE**

„Stefcia przypomniła sobie jedną rozmowę z Waldemarem. Mówił, że powstające uczucie jest podobne do gmachu nowożytności, zbudowanego z cegieł. I dobrze jest, gdy cegła jest sama miłość, oparta na cementie szacunku. Tylko na cementie — glina wyłaczona.”

Żelazne wiązania — to stałość. Kielnia — to zaufanie, łączące miłość z szacunkiem.

Krokwie i sklepienia — to warunki i okoliczności. Mogą być one bardzo wyniosłe lub też dość niskie.

Tynkiem jest wiara. Powinna posiadać wielką siłę, chcąc uchronić mur od ruiny.

Wapno — to opinia świata. Szczęśliwie, jeśli pokrywa mur już zlasowane — nieszczęśliwie, jeśli przed zlasowaniem, czyli przed ustaloną reputacją, bo wówczas byle zły powiew łamie wapno i kruszy.

Fundamentem Waldemar nazwał dość cynicznie — pociąg zmysłowy.

I dowodził, że powstałe na nim gmachy uczuć bywają najwspanialsze, jeśli zaś istnieją bez przerwy, wówczas są najtrwalsze. Ale przyznawał, że fundamentem może być również jedność duchowa, wspólność myśli i zapamiętanie.

Stefcia, przypominając sobie jego zdania, wplatała je teraz we własne uczucia.

A może istotnie bóg pociągu zmysłowego nie ma ształu w mi-



CZY ZGŁOSIŁAŚ JUŻ SVOJĄ PROPOZYCJĘ W ZWIĄZKU Z WYBÓREM „MISS LUNAPARK 58”? PAMIĘTAJ, ZE CZEKAMY NA TWOJĄ LIST.

Łość i sama miłość za błado by wyszła jak obraz cenny artystem, bogaty w technikę i koloryt, lecz pozbawiony odpowiedniego światła?

(Helena Mnisek, „Trędowata”)

**SWAWOLNE  
ROZRYWKI UMYSŁOWE**



**List do redakcji**

Szanowny Lunaparku! Rysunki zamieszczone w Lunaparku różnią się między sobą następującymi szczegółami:

1. U góry w prawym górnym rogu znajduje się 5 „kółek białych”. Na dole znajdują się dwa „czarne kółka”.

2. U góry nad głową policjanta, na tle samochodu znajduje się coś w rodzaju czapki, ale jest mało prawdopodobne, aby policjant miał aż dwie czapki, w każdym bowiem razie to jest jeden ze szczegółów.

3. Na tle tegoż samego samochodu tuż pod parasolką „bojowej pani” znajduje się mały, czarny punkcik, którego nie ma na dalszym rysunku.

Łącząc pozdrowienia  
Tadeusz Siudmak  
Wieluń, Śląska nr 1

Pan Tadeusz Siudmak z Wielunia otrzymuje za spostrzegawczość nagrodę książkową. A co do rysunków to, niestety, nie różniły się one między sobą żadnym, najmniejszym nawet szczegółem.



Aspazja usiłuje uwieść rakiętę.

**odgłosy** str. 11

„Lunapark” — tygodnik społeczno-kulturalny o szerokich zainteresowaniach. Redaguje Kolegium. Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Listy prosimy adresować: „Ogłoszy” z adnotacją — „dla Lunaparku”.





## Świat w ogniu

Tak brzmi tytuł wielkiego filmu dokumentalnego o II wojnie światowej, zrealizowanego we Francji przy współpracy filmotek i archiwów wojskowych wszystkich krajów, biorących udział w wojnie. Rozpoczyna film tragiczna noc 31 sierpnia 1939 roku, ostatnia noc pokoju. Przed oczyma przesuwa się krótka epopeja polskiego września. Błyskawiczna wojna radziecko-fińska, Zajęcie Danii i Bałkanów, Stalingrad, El Alamein, Tragedia Pearl Harbour, Brawura szturmowa na Monte Cassino, Desant w Normandii, Wyzwolenie Francji, Bitwa o Berlin. Straszliwy dramat Hiroshimy i klęska Japonii. Oto krwawe i heroiczne etapy dziejów ostatniej wojny. Ponura kronika zdziczenia i bchasterstwa, cywilizacji i barbarzyństwa, smutne świadectwo człowieka XX wieku. Wojna jest największym nonsensem świata, owocem szaleństwa i nienawiści — oto główna myśl tego filmu. Gdy zobaczymy go na naszych ekranach (nie należy nigdy tracić nadziei — jak mawiał stary Dumas), pomyślimy o dziełach operatorów, którzy z narażeniem własnego życia utrwalali na taśmie historie tamtych czasów. Im to zawdzięczamy najwspanialsze i najprawdziwsze świadectwo epoki. Wiele z nich poległo. Są czasy, w których kruchy żywot łatwopalnej taśmy jest trwalszy od życia człowieka.

SKAT.

## Złośliwy motocykl

Podczas nakręcania zdjęć do filmu „Zamach” miał miejsce wypadek, który mógł się skończyć tragicznie. Kamera filmowała scenę, która rozgrywała się na moście w Toruniu. Ulica jechała motocykl, z którego w biegu wyskoczył młody aktorzy grający żandarmów niemieckich. Początkowo wszystko odbywało się zgodnie z planem, motocykl jechał, aktorzy wyskakowali, a kamera to nakręcała. W pewnej chwili okazało się jednak, że motocykl opuszczony przez jeźdźców toczy się dalej i to z dosyć znaczną prędkością. Ktoś skoczył chcąc zatrzymać pojazd, a że uczynił to zbyt zrezygnując przez motocykl przyspieszył biegu i skręcił w kierunku kamery. W rezultacie sprzęt zdjęciowy uległ zniszczeniu, a młody utalentowany operator Andrzej Gronau (absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi) omal nie postradał życia.

## W KINIE

## Współczesny uwodziciel z Florencji

Z trudem przypominam sobie felieton recenzenta „Życia Literackiego” Juliusza Kiedrzyńskiego — choć drukowany był stosunkowo niedawno — jakoś niezbyt silnie utkwił mi w pamięci. W każdym razie autorowi chodziło o film René Clémenta — „Monsieur Ripois”. Recenzent wynosił nieudany film pod niebiosa, a jego bohatera — postać sztuczną — mianował symbolem współczesnej donżuanerii.

Przypomniało mi się to w trakcie projekcji „Dziewcząt z Florencji” reżyserii Valeria Zurliniego; chociaż jest to film innego gatunku, bo komedia — nawiasem mówiąc — komedia nieustrzeżona od wielu stereotypowych, wielu sztucznie rozwiązanych scen, a wreszcie — jako całość — komedia nie wychodząca zbytnio poza przeciętność.

A więc w czasie trwania projekcji doszedłem do

wniosku, że właśnie dwudziestowieczny bohater „Dziewcząt z Florencji” nosi w sobie wiele rysów przeciętnego współczesnego donżuana. Jakis beżad i przypadkowość jego poczynań, infantylne kłamstwa mające wzbudzić podziw dziewcząt, przy inteligencji nienajwyższej próby i do tego, wbrew ogólnemu przekonaniu, brak szczególnych objawów cynizmu — oto cechy właściwe dzisiejszym uwodzicielom z przedmieść i ruchliwych ulic śródmieścia.

Wypunktowanie tych cech udało się realizatorom filmu znakomicie. I to stanowi poważny atut „Dziewcząt z Florencji”. Główna to jednak zasługa młodego, utalentowanego, a przy tym przystojnego aktora występującego w czołowej roli — Antonia Cifariello, którego mieliśmy okazję poznać już w kilku filmach, między innymi w „Panienkach z miasteczka” oraz w „Chlebnie, miłości i...”.

TADEUSZ ŻAKOWIECKI



„Wolne miasto” \*) ma dość oryginalną dramaturgię. Oto tzw. ekspozycja, czyli zawiązanie akcji trwa zazwyczaj bardzo krótko. Tyle tylko, ile trzeba, by widz poznał kilka najważniejszych postaci i miał choć blade pojęcie o sytuacji. Inaczej w obrazie Różewicza. Tutaj ekspozycja rozrasta się, zacierając swoje granice i nieustraszenie staje się samodzielnym opowiadaniem filmowym, poprzedzającym zasadnicze wypadki, związane z obroną poczty. A że owa ekspozycja traktuje opisowo o Gdańsku, przeto jasnym się staje, dlaczego filmowi Różewicza w ostatniej chwili zmienił tytuł. Jest to rzeczywiście opowieść o Wolnym Mieście Gdańsku Anno Domini 1939, a tragiczny epizod września, obrona poczty, zamyka tę opowieść niczym kłama wymyślona przez scenarzystę. Tymczasem scenarzysta kopiował tylko rzeczywisty rozwój wydarzeń! Wnoszę: pierwszy medal należy się autorowi pomysłu tego filmu.

Drugi papierowy medal sprawozdawcy przypada znów autorowi pomysłu „Wolnego miasta”. Tym razem za rezygnację z pseudo dokumentalizmu, który w tym wypadku — będąc zresztą niemożliwy do uzyskania — rozłożyłby zarazem film. Opowieść o gdańskich pocztowcach jest bowiem fabularyzowana, ubrana w kształt filmowy może nie zbyt równy, ale obrany trafnie. Myślę tu o wprowadzeniu kilku równoległych wątków, z których jeden jest wymyślny (nieśmiały poezylion zakochany w Irenie) a pozostałe — jak na nieunikloną fragmentaryczność — zupełnie zadowalające.



„Wolne miasto” \*) ma dość oryginalną dramaturgię. Oto tzw. ekspozycja, czyli zawiązanie akcji trwa zazwyczaj bardzo krótko. Tyle tylko, ile trzeba, by widz poznał kilka najważniejszych postaci i miał choć blade pojęcie o sytuacji. Inaczej w obrazie Różewicza. Tutaj ekspozycja rozrasta się, zacierając swoje granice i nieustraszenie staje się samodzielnym opowiadaniem filmowym, poprzedzającym zasadnicze wypadki, związane z obroną poczty. A że owa ekspozycja traktuje opisowo o Gdańsku, przeto jasnym się staje, dlaczego filmowi Różewicza w ostatniej chwili zmienił tytuł. Jest to rzeczywiście opowieść o Wolnym Mieście Gdańsku Anno Domini 1939, a tragiczny epizod września, obrona poczty, zamyka tę opowieść niczym kłama wymyślona przez scenarzystę. Tymczasem scenarzysta kopiował tylko rzeczywisty rozwój wydarzeń! Wnoszę: pierwszy medal należy się autorowi pomysłu tego filmu.

Czwarty medal otrzymuje reżyser, za oszczędność, powagę i rezygnację z efektciarstwa, za ominięcie patosu, za bezpretensjonalność i bezpośredniość. Może niepotrzebny był tylko ukłon

dowana z wyraźną konsekwencją. Przypuszczam, że w toku rychłych dyskusji okaże się, że zbyt przesadnie pokazane jest osamotnienie niebezpiecznej (w filmie) grupki obywateli polskich w Gdańsku. Najwyraźniej czują się intruzami, przez co cierpi cokolwiek tzw. wydźwięk filmu. Diabli wiedzą, czy to nie szczęście... Lepsza jest bowiem nawet smutna prawda, niż fałsz. Film Różewicza zdaje się trafiać w sedno tej kłopotliwej sprawy. Społeczność polska w Gdańsku istotnie była osamotniona, odcięta od macierzy, w przeciwnieństwie do społeczności niemieckiej, związanej z ideałami Vaterlandu.

Przy okazji „Wolnego miasta” można by starym zwyczajem toczyć spór o realia. Można by, gdyby nie charakterystyczny szczegół. W tym filmie daje się bowiem zaobserwować dosyć absurdalna sytuacja: uchybienia w sferze realiów — najwyraźniej pomagają reżyserowi! Weźmy dla przykładu scenę wywalania muru. Wymagać można, iż rzecz ukazano trochę jak gdyby po myśli wyobrażeń małego Kazia. Bo istotnie żaden szanujący się wojak nie ustawiałby karabinu maszynowego naprzeciw otworu w jego najbliższej odległości, gdzie byle granat uczynił może spustoszenie. Ale nie zapominajmy, że Różewicz pokazuje cywil walczących z ludźmi przyuczonymi do zabijania. Dlatego na miejscu są zarówno tego rodzaju naiwności jako też ów popisywany sztyk i elegancja Niemców. Nie zapominajmy także, że jest to pierwszy dzień wojny, skąd wynika ta — nieomal popisywana — niemiecka akcja i dezorientacja obrońców. Słowem — w momentach pozornie jaskrawych odstępstw od realizmu — reżyser utrafił zarazem w jego klimat; przynajmniej psychologiczny.

Z „Wolnym miastem” daje się zestawzić przykład „Nieśmiertelnego garnizonu”, filmu produkcji radzieckiej, poświęconego obrońcom twierdzy brzeskiej. Celowo przypominam ten film, dla uwydatnienia waleńców „Wolnego miasta”. O ile bowiem „Nieśmiertelny garnizon” operuje pustostwami i wąsko pojętą atrakcyjnością strzelaniny, tak film Różewicza szczęśliwie omija niebezpieczeństwa identycznego w zasadzie założenia. A przecież wystarczył krok

w stronę zawsze ryzykownych uogólnień, żeby wszystkim i tutaj skończyło się na frazeologii. Różewicz tego kroku nie zrobił. Wolał w odpowiedniej chwili milczeć, niż powiedzieć zbyt wiele.

Płaty medal należy się za zdjęcia, decydujące o autentyzmie najważniejszych fragmentów tego filmu. „Wolne miasto” potrzebowało właśnie tej dokumentalnej oprawy, w którą zostało ubrane. Szósty medal winien dostać scenograf, za poczęcie z prawdziwego zdarzenia i swój udział w medalu numer pięć. A co do siódmego medalu, to rzecz jasna — przypada on działowi produkcji. Proszę się temu nie dziwić. „Wolne miasto” jest zjawiskiem jak na warunki krajowe bodaj bez precedensu. Ten film ukazał się przecież na ekranach w trzydziści dni od zakończenia zdjęć.

A więc zgodnie z tegorocznym zwyczajem, medale zostały rozdane. Odbyło się to przy udziale taryfy należnej potrzebemu filmowi, cieszącemu się zrozumiałym zainteresowaniem widzów.

\*) „Wolne miasto” — film produkcji polskiej, zrealizowany w zespole „Rytm”. Reżyseria Stanisław Różewicz, scenariusz Jan Józef Szczepański, zdjęcia Władysław Forbert, muzyka Andrzej Dobrowolski.

Wykonawcy: Rajca — Włodzisław Ziemiński, naczelnik poczty — Bronisław Dardziński, Irena — Hanna Zembrzaska, Konrad — Stanisław Jasiukiewicz, Kunert — Kazimierz Wichniarz, Janek — Jan Machulski, Pająkowa — Irena Netto, Pająk — Leopold Detkowski.



★ ANKIETA ★ ANKIETA ★ ANKIETA ★ ANKIETA ★ ANKIETA ★ ANKIETA ★ ANKIETA ★ ANKIETA ★ ANKIETA ★ ANKIETA

Chociaż kino na ogół cieszy się dużą popularnością, niemniej istnieje pewna ilość ludzi, którzy nie oglądają filmów. Są to zarówno ludzie omijający kino, ale uczęszczający za to do teatru, albo zajmujący się literaturą, telewizją itp. względnie inni, którzy unikają kina z bliżej nie wyjaśnionych przyczyn. Kiedyś na przykład prof. Jan Kott w rozmowie radiowej powiedział, że z zasady omija kino ale nie wyjawiał — dlaczego. Bywa, że ktoś nie wstępuje w bramy przybytku X Muzy, bo nie uważa filmu za dziedzicę sztuki, a ktoś postępuje identycznie bo... peszy go filmowe powoływanie się na

## Dlaczego nie chodzisz do kina?

Muzy, chciałby w kinie znaleźć rozrywkę, a nie przedmiot sztuki.

Temat wydaje się interesujący dla ogółu Czytelników. Dlatego wysuwamy go w formie ankiety. Odpowiedzi mogą mieć kształt zarówno jednego zwięzłego zdania jak i artykułu czy felietonu. A oto zasadnicza innowacja naszej ankiety: postaramy się, żeby wszystkie bez wyjątku wypowiedzi Czytelników były publikowane. Redakcja zastrzega sobie jedynie prawo czynienia skrótów. Równocześnie drukowane będą wypowiedzi ludzi teatru, plastyki, literatury, publicystyki itp. — umyślnymi listami zaproszonych do dyskusji.

★ ANKIETA ★ ANKIETA

★ ANKIETA ★ ANKIETA